Nr. 40. Kraków, dnia 2 października 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Zakusy germanizatorskie renegatów śląskich.

(Korespondencya Cieszyńska).

Już niejednokrotnie wspominaliśmy w poprzednich listach ze Śląska Cieszyńskiego o sposobach, których używają Niemcy, aby zgermanizować lud polski na Śląsku. Do tych należy stworzenie partyi pod nazwą „Śląskiej", która ma rzekomo za cel obronę interesów ludowych, w zasadzie utrzymywana i rządzona przez kapitalistów niemieckich ma służyć ich idei zniemczenia ludu polskiego.

Otóż zapewne celem zwerbowania przyjaciół, celem przyciągnięcia ludu naszego ku sobie urządziła ta „partya" (czytaj Niemcy i renegaci niemieccy) „fest" wielki w ich stolicy Skoczowie.

Zjechało się dużo ludzi, ale samych Niemców; z ludności polskiej ledwie parę osób i to ściągniętych z okolicy. Wobec tego Niemiaszki sprowadziły swe służące, które, jako pochodzące ze wsi są narodowości polskiej i zabawili się z niemi.

Nie byłyby te „festy" śląskiej partyi ludowej wcale interesujące, gdyby nie to, że mają one pewne intermezza polityczne. Zwyczajnie występuje przed forum jakiś Niemiec, który mówi o zgodzie śląsko-niemieckiej, oraz osławiony Kożdoń, który dla odmiany rzuca obelgi i kalumnie na Polaków, wywodząc, że wszystkiemu złemu na świecie, a więc i na Śląsku, winni są Polacy, których, gdyby nie było, byłby on i jemu podobni bardzo szczęśliwi.

Takich zabaw politycznych urządzono w r. b. już parę — wszystkie z miernym, a może i żadnym skutkiem i bardzo wątpimy, czy tą drogą dużo partya zdziała, w każdym razie do charakterystyki jej i pracy nad zniemczeniem ludności polskiej wcale udatnym będą przykładem.

O ile na festynach Niemcom dobrze się powodzi, nie tak pomyślnie się udaje zgoła na szerszej arenie publicznej.

Oto niedawno w Cieszynie odbywał się zjazd Tow. Gustawa Adolfa. Uczestniczyli w nim pastorowie całego państwa. Tymczasem zjazd zamiast odbyć się w zborze, jakby naumyślnie urządzono w Tow. „Nordmark", nadto zawarowano, że na zjeździe wolno używać tylko języka niemieckiego.

Wobec tych faktów polscy i czescy pastorzy opuścili zebranie i urządzili sobie osobne zgromadzenie w Domu Narodowym. Jest to dopiero pierwszy oficyalny krok narodowy pastorów-Polaków, który może wpłynie na dalszą zmianę w odpowiednim kierunku na polskość wśród kleru ewangelickiego.

Dalekim bowiem będąc od odsądzania od od polskości ludności na Śląsku tego lub owego wyznania, jednak stwierdzić i podkreślić należy, że ogół pastorów ewangielickich, mimo, iż ze Śląska się rekrutował, uważał się za przynależny raczej do niemczyzny, a dla sprawy polskiej wrogo był usposobiony. Wszak nawet pastorzy galicyjscy, również przeważnie uważają się za Niemców, choć bardziej niż gdzieindziej mogliby mieć sposobność się spolszczyć.

Oczywiście tak tu na Śląsku, jak i w Galicyi, wyłączono jednostki, znane ze swego patryotyzmu i pracy dla sprawy polskiej, — ale, niestety, są to tylko jednostki. Że jednak i tu jest coraz to lepiej, że tych jednostek przybywa, dowodzi fakt wyżej wspomiany, — jak śmiem zauważyć, pierwszy w dziejach protestantyzmu polskiego w Austryi, który zapewne tylko do powolnego, ale stałego spolszczenia się kościoła ewangielickiego, tam gdzie on polskim być powinien, przyczynić się może.

Wreszcie w ostatnich dniach mamy ciekawy fakt do zanotowania: oto pastor Broda, znany renegat i współwydawca takiegoż pisma pt. „Nowy Czas" uderzył na polskich nauczycieli w onem

pisemku, że zbierają na fundusz grunwaldzki, za który „utrzymuje się Polaków z Galicyi przysyłanych celem agitacyi na Śląsku“. „Jeżeli nauczyciele mają tak dużo „pieniędzy“, że aż na cele wszechpolskie składają, to niech od kraju podwyższenia nie żądają“ kończy swe wywody renegacki pastor.

Na to otrzymał w jednem z pism polskich na Śląsku odpowiedź: „pan pastor Broda, jakkolwiek z pochodzenia Polak, woli być Niemcem, tego mu nikt nie zabrania — ale tedy od Polaków wara, — nikt z Polaków nie podnosi tego, że jakkolwiek pan pastor Broda na polskiej parafii siedzi i z polskiej ludności żyje, — daje pieniądze na niemieckie Schulvereiny i inne cele hakatystyczne, służące do tępienia tejże ludności na Śląsku, — a mimo to, do tejże ludności zwraca się o podwyższenie dochodów“.

Ale jeszcze większa i dotkliwsza a zasłużona nauczka spotkała tego wodza renegatów w jego własnej parafii. Oto świeżo odbył się wiec szkolny w Goleszowie, na którym rodzice uchwalili ostre rezolucye przeciw renegackiemu nauczycielowi, germanizującemu bezprawnie polską szkołę. Pan Broda usiłował bronić swego sprzymierzeńca na tymże wiecu, ale otrzymał odprawę od swych własnych parafian, tak silną, że postanowił Goleszów opuścić, z czego ludność tutejsza zapewne się ucieszy.

W niedzielę ubiegłą odbyły się na Ślązku dwie uroczystości szkolne, a mianowicie: poświęcenie gimnazyum realnego w Orłowie i poświęcenie pierwszej szkoły wydziałowej polskiej w Dąbrowie. Obie uroczystości odbyły się przy udziale licznego ludu polskiego, który dał dowód swą obecnością, jak bardzo ceni nowe placówki narodowe i uznaje ich ważność.

A właśnie rok obecny zasobny jest w powstanie całego szeregu szkół. Obok istniejącego gimnazyum polskiego w Cieszynie powstaje też pod miastem polskie seminaryum nauczycielskie, tak ważny posterunek narodowy, ze względu na całe, polskie szkolnictwo ludowe na Śląsku. Powstało też gimnazyum realne w Orłowie, oraz dodać tu wypada, że od roku istnieje już gimnazyum realne w Białej. Obok pierwszej publiczny szkoły wydziałowej w Dąbrowie, powstała szkoła wydziałowa w Cieszynie; utrzymywana przez Macierz, a nadto powstaje polska szkoła wydziałowa w Dziedzicach — Czechowicach, kosztem T. S. L. również w niesłychanie ważnem, a bardzo zagrożonem środowisku.

Publicznych szkół ludowych rozrzuconych kilka. Władze szkolne, śląskie były w tym wypadku bardzo wstrzemięźliwe i wszelkim słusznym życzeniom ludności i wydziałom gminnym odmawiano stale. Również nierozstrzygnięta została sprawa szkół w Zagłębiu, o które toczyła się tak zaciekła walka w roku zeszłym.

Macierz szkolna założyła nową jedną szkołę w Jaworzu.

Natomiast skądinąd grozi poważniejsze niebezpieczeństwo szkolnictwu polskiemu. Oto władze szkolne szykanują i przenoszą nauczycieli usposobionych narodowo, a protegują renegatów, obsadzając nimi lepsze posady. Przeciw tym zapędom germanizacyjnym powstała ludność polska i potępiła je na wiecu w Goleszowie.

Wasz.

Odnowienie Wawelu.

Wydział krajowy złożył w tygodniu ubiegłym Sejmowi galicyjskiemu sprawozdanie z postępu robót około odnowienia Wawelu. Sprawozdanie to zapowiada przedewszystkiem odłożenie ostatecznej ewakuacyi zamku do czerwca 1911 roku. Wtedy dopiero zostanie usunięty szpital wojskowy.

Z robót dokonanych już na Wawelu wymienić należy następujące:

Roboty ogólne: dokonano niwelacyi całego wzgórza zamku, które będzie podstawą do założenia ogrodów na stokach, kanalizacyi i umieszczenia stacyi centralnej ogrzewania i wentylacyi. Ogrzewanie i wentylacyę zamówiono u inż. Kaz. Obrębowicza w Warszawie.

W południowem skrzydle krużganków zasługuje na uwagę restauracya fresków zaczęta w lipcu 1909 r. przez p. Juliusza Makarewicza. Przed zimą 1909 r. wykonano na całej długości górną część fryzu, w roku zaś bieżącym ukończono część dolną. Fryz ten malowany frezkowo z uzupełnieniem temporą, wykonany w pierwszej połowie XIX w., był bielony. Po dokładnem odjęciu wierzchnich powłok wapna odnalazł się cały fryz podzielony malowanym gzymsem na dwie części. W górnej znajdują się medaliony cesarzy rzymskich (kopiowane według współczesnych kamei) trzymany przez dwie figury dekoracyjne. Pod każdym medalionem nazwisko cezara. W dolnej części fryzu umieszczone są medaliony żon cesarzy rzymskich. Medaliony te połączone są z sobą bogatemi festonami z liści, owoców i trofeów.

Cała restauracya została przeprowadzana z największym pietyzmem, pod ciągłym dozorem kierownictwa, jak i konserwatora dr. S. Tomkowicza.

Jesień.

Rozkoszne było lato, tyle w niem blasków, bogactwa i siły — tyle życia... i ciepła — i zdrowia... Aż oto — nadchodzi Jesień... Na mglistej szacie, w którą jest przyodziana, złocą się jeszcze słoneczne promyki — lecz takie inne, takie chłodne... Są to jakby refleksy tego letniego słońca.

Idzie Jesień, niosąc w ręku sierp... A gdy zwróci go w stronę drzew bujnym liściem porosłych odlatują one od swych gałązek i lecą na ziemię czarną, niby krwawe łzy...

Pod sierpa skinieniem chylą główki kwiaty — i nie mówią już do nas swą barwą cudną, ani swym zapachem... Nawet chór ptasząt cichnie coraz bardziej, bardziej... I czujesz, że już niedługo nastanie cisza, zupełna...

Tak co rok bywa, tak w kółko...

Coraz to inne panowanie, inna władza... Przyroda słucha się jej głosu; co rozkaże — czyni... Tak, tak!.. Potężna jest jesień... Lecz i jej panowanie jest krótkotrwałe... Ustąpić musi wobec silniejszego — wobec... Zimy.

Ta ostatnia, gdy przyjdzie, chce być sama panem... Po poprzedniczce swej zaciera wszelkie ślady...

— Ja tu pan!.. — lecą z mroźnym wichru podmuchem jej słowa, jej groźne słowa.

Nie dowierza jednak rdzawym liściom.

Im tak dobrze, tak wygodnie było tam — hen! w górze, pod słońcem... Mogłoby zbudzić się w nich pragnienie życia, pragnienie powrotu na dawne królujące stanowisko...

— Nie pozwalam! — grzmi groźnie Zima i na drgające pod wichru powiewem strąca ze swego skrzącego się mirjadem gwiazd płaszcza tumany śniegu, białym całunem pokrywa ziemię i liście — wszystko, co na świat wydało bujne Lato...

— Ja tu pan! — polatuje z wiatrem królewski głos Zimy. — niosę śmierć wszystkiemu co było... Śmierć! śmierć! śmierć!...

Zbyt dumny mocarz — zbyt przeceniający własne siły. Choć strachem śmierci żyjące stworzenia napawa — jednak sam śmierci ulega... Choć dumny, choć wielki!

Śmiercią dla niego jest ten słońca żar, co leci Wiosną z błękitnego nieba. Przed jej młodością i siłą ustąpić musi — ona... mocarz... Zawiodły go siły, za płytki był jego wzrok... Nie dostrzegł, że słońce, w którem tak cudnie płaszcz jego migotał — ma moc, która jego panowanie zgasi i ziemię z lodowego uścisku uwolni... Nie dostrzegł, że to, co za śmierć uważał, był tylko... sen! Że tam wewnątrz tej ziemskiej skorupy wre ogień, tlą pierwiastki życia, pamiętające inne, inne czasy... Słońce Wiosny, przeniknąwszy ziemię, na światło dzienne je wyprowadzi... Tego mocarz zimowy nie dostrzegł... Nie wiedział, że jego moc — to blichtr, to mamidło... że Wiosna królem jest, co wszystko odrodzi... W niej ciepło — w niej życie — w niej moc! Precz zimowy mocarzu!

Znają jej władzę twory żyjące — więc nawet w srogi czas Zimy marzą o wybawicielce Wiośnie!

Wierzą w jej przyjście, i dlatego żyją, i dlatego niczem jest dla nich zimowa śmierć...

J. D.

Stopa królowej Jadwigi.

Znaną jest „Stopa królowej Jadwigi“ w Krakowie, na przedmieściu Piasek, w narożniku Kościoła O.O. Karmelitów, pod wezwaniem Nawiedzenia N. Panny. Na wmurowanym w ścianę kamieniu, obok śladu stopy, znajduje się data: „1390 r.“ Łączą z tym zabytkiem podania następujące:

Kiedy królowa Jadwiga namówiła Władysława Jagiełłę, ażeby kościół Nawiedzenia, założony jeszcze przez Władysława Hermana, ukończył, często sama na miejsce budowy przybywała, naglíła robotników do śpieszniejszej pracy, zachęcając ich to miłem słowem, to datkiem. Pewnego razu zmoczywszy sobie trzewik wapnem, oparła stopę na leżącem kamieniu, gdy zaś jeden z kamieniarzy oczyszczał jej trzewik, wdała się z nim w rozmowę i dowiedziała się, że pomimo najusilniejszej pracy, nie może on zarobić tyle, ile potrzebuje na utrzymanie chorej żony i drobnych dziatek. Jadwiga zdjęła wówczas kosztowny pierścień i darowała biedakowi, mówiąc:

— Pracuj i módl się, a Bóg cię nie opuści.

Kamieniarz ze łzami wzniósł gorącą modlitwę o błogosławieństwo dla królowej, a spostrzegłszy ślad jej stopy, oznaczony wapnem na kamieniu, wykuł go oraz rok 1390.

Istnieje wszakże inna, zupełnie odmienna legenda o tymże kamieniu, która opiewa, że zaraz po przybudowaniu kaplicy tegoż kościoła i jej poświęceniu, Matka Boska, objawiwszy się pewnemu pobożnemu staruszkowi, zstąpiła na taflę kamienną przyległego ołtarza i na niej pozostawiła ślad stopy swojej, którą to płytę zaraz pod-

ówczas wmurowano zewnątrz kościoła, z dodaniem r. 1390.

Prof. Łuszczkiewicz zwraca uwagę, iż kaplica Matki Boskiej na Piasku z gruntu stanęła dopiero około r. 1675 i że podanie o królowej Jadwidze jest poetycznym wymysłem bliższych czasów, jak również nie współczesną jest wykuta data 1390 r.

Powyżej kamienia ze stopą, wyryto również w kamieniu napis: „Stopa królowej Jadwigi“, a w nowoczesnych czasach kamień ten został zabezpieczony kratą żelazną.

Badacze starożytności stopę królowej Jadwigi zaliczają do t. zw. „Bożych stopek“, zabytków bardzo starożytnych, spotykanych dość często we wszystkich częściach świata. W krajach polskich takie ślady w kamieniu uważano za ślad bożka pogańskiego, oznaczały one zatem symbolicznie obecność bóstwa w danem miejscu i być może, iż wiele świątyń pogańskich posiadało swoją stopę świętą. Cokolwiekbądź, za fakt niewątpliwy uważać należy, iż u nas w Polsce, rzeźbione w kamieniu ślady stóp ludzkich są pozostałością dawnej, przedchrześciańskiej kultury i wierzeń pogańskich. Po zaprowadzeniu chrześcijaństwa, gdy wszystkie przedmioty kultu pogańskiego: świątynie, drzewa poświęcone, bożki i t. p., zniszczone zostały, tylko owe Boże stopki, jako na dużych i niełatwo rozbić się dających głazach wykute, nie dały się zniszczyć, a dzięki temu, ocalały. Po upływie wieków, wyszło z pamięci ludzkiej ich znaczenie. Fantazya ludu zaczęła dorabiać do nich legendy, a że w wielu miejscach sama nazwa Boża stopka się utrzymała, zatem i legendy snuto na tle wierzeń i podań chrześcijańskich. Więc w stronach, gdzie żył i działał św. Wojciech, w Wielkopolsce i na Śląsku, widziano w owych stopach ślady tego świętego; w innem miejscu — św. Jadwigi; w Krakowskiem św. Andrzeja. Cześć Matki Boskiej, która tak silnie się rozwinęła w krajach polskich, wyraziła się między innemi i w tem, że Boże stopki zaczęto uważać za ślady Jej stóp. Tu i owdzie wmurowywano te kamienie w ściany kościołów, a zwłaszcza kaplic Wniebowzięcia Matki Boskiej, całowano je ze czcią i pobożnemi opatrywano napisami. W niektórych miejscowościach ślady na kamieniach wyobraźnia ludu przypisywała Zbawicielowi. Tak to dziwnym zbiegiem okoliczności pozostałość po czasach bałwochwalczych przeistoczyła się w przedmiot czci chrześciańskiej. Tylko w niewielu miejscowościach, tam mianowicie, gdzie i dawna pobożna nazwa się zachowała, legendy na świeckich tematach są osnute.

Potajemne śluby.

Z powodu zamieszczenia przez pisma francuskie wiadomości o ślubie zawartym ongi w sekrecie przez nieżyjącego dziś pisarza rosyjskiego Turgieniewa, pisma angielskie opowiadają, że jeden z bogatych bardzo mieszkańców Londynu, mr. Mumby, znany w szerokich kołach tamtejszego świata, a w tych dniach zmarły, również w sposób oryginalny wiódł swój żywot małżeński.

Zawsze go miano za kawalera i za dziwaka, który stroni od kobiet.

Na krótko przed śmiercią mr. Mumby umarła służąca jego. Stary pan zaprosił w uroczyście urzędowej formie liczne grono krewnych i przyjaciół na pogrzeb zmarłej. Nie zdziwiło to bynajmniej nikogo, wiedziano bowiem ogólnie, że jedną z oryginalności Mumby'ego było, iż miał służącą, która przez 40 lat pozostawała u niego, troszcząc się z nieznużoną gorliwością o jego żołądek i dobry humor.

Nie zdziwiło również i to, że nie pocieszony mr. Mumby zaraz po pogrzebie udał się do jednego z wybitnych artystów-rzeźbiarzy i zamówił dla „swojej ukochanej, nieodżałowanej Anny“ wspaniały nagrobek.

Ot wzruszająca wdzięczność pana dla wiernej sługi!

Kiedy kosztowny pomnik marmurowy stanął na grobie zmarłej niewiasty, mr. Mumby zaprosił znów liczne grono krewnych i przyjaciół na odsłonięcie pomnika.

I jakież było zdumienie zaproszonych, gdy ujrzeli złocisty napis na pomniku, obwieszczający ni mniej ni więcej, tylko, że zmarła kobieta od lat 40 była ślubną żoną pana Mumby!

Stało się to zaś tak: Mr. Mumby, mając lat 30 nie chciał jadać po restauracyach, lecz urządził sobie dom. Wszelako nie myślał się żenić, gdyż nie miał na to, przyjął więc służącą, młodą i hożą Annę. Po upływie pewnego czasu, widząc gorące jej do siebie przywiązanie i bezgraniczną uczciwość, zakochał się w niej i zaproponował jej małżeństwo. Anna, już od kilku miesięcy kochająca się skrycie w swoim panu, zgodziła się na to z ochotą, postawiła jednak jeden warunek: oto, że p. Mumby pozwoli jej do śmierci pozostawać na stanowisku służącej i nikomu nie powie o ich małżeństwie. Kiedy zaś stanowczo oświadczyła, iż tylko pod tym warunkiem pójdzie do ślubu, p. Mumby przyrzekł uroczyście tajemnicę.

Lat 40 upłynęło i w tym czasie p. Mumby doszedł do bogactwa, ale pani Mumby nie chciała



Zygmunt August w Lublinie dnia 1-go lipca 1569-go roku.

go zwolnić ze słowa, dopiero po jej skonie mąż uznał, iż byłoby wielką niewdzięcznością dalsze ukrywanie i ogłosił publicznie, że mniemana jego służąca była mu wierną, kochaną żoną, z którą pożycie miał jaknajszczęśliwsze...

O podobnej historyi opowiada jedno z pism wiedeńskich. Pewien urzędnik ministeryum w Wiedniu, młody wdowiec, przyjął dla swych dwu córek guwernantkę. Wkrótce pomiędzy przystojną guwernantką, która mówiąc nawiasowo, okazała się dla dziewcząt taką dobrą, jak rodzona matka, a jej chlebodawcą, wywiązał się stosunek wzajemnej sympatyi, który niebawem przerodził się w miłość. Wdowiec jednak nie chiał wobec dorastających dziewcząt — ze względu na pamięć matki — okazywać swej miłości do innej kobiety.

Wobec tego oboje zakochani wzięli ślub potajemnie i bywa żoną w domu, wobec córek odgrywała nadal rolę guwernantki. Jako mąż i żona schodzili się w pewnym domku na przedmieściu specyalnie w tym celu wynajętym. Osadzili w domku, jako gospodynię, pewną ubogą staruszkę, dobrą znajomą obojga.

Przez długi czas to oryginalne tajne małżeństwo utrzymywało się w zupełnej tajemnicy. Ciekawi jednak sąsiedzi widywali bardzo często ową parę wchodzącą do domku i pozostającą tam długie godziny. Zaczęto szemrać na staruszkę, że ułatwia grzeszne stosunki, wreszcie oskarżoną ją przed prokuratorem o... kuplerstwo.

Sprawa oparła się o sąd karny. Dopiero, gdy ów urzędnik ministeryum wezwany w charakterze... świadka, okazał akt ślubny, sprawę umorzono, ale — rzecz prosta — tajemnica tego osobliwego małżeństwa przestała być już nadal tajemnicą.

I pisma węgierskie z okazyi opisu tych dwóch fenomenalnych małżeństw podają fakt oryginalny. Oto pewien francuski bogaty szlachcic, zamieszkały na Węgrzech, zakochał się w dziewczynie folwarcznej i ożenił się z nią. Ta nie żądała wprawdzie sekretu, co do swego małżeństwa, nie chciała jednak nigdy zmienić roli służącej od krów na rolę pani domu, ani swego prostego stroju na kosztowne toalety...

A pomimo, że była żoną magnata pełniła do śmierci obowiązki dziewki służebnej, w takim charakterze występowała wobec gości i okolicznej ludności i.... czuła się zupełnie szczęśliwa na swem stanowisku...

A teraz fakt z naszych rodzinnych stosunków.

Na Podlasiu u bogatych krewnych była na wychowaniu niezamożna panna arystokratycznego rodu. Panna miała odziedziczyć cały majątek po bezdzietnych krewnych, ale z warunkiem że wyjdzie za mąż za upatrzonego przez nich młodzieńca. Ten jednak pannie się nie podobał, natomiast zakochała się w praktykancie rolnym, młodzieńcu ubogim, którego opiekun jej przygotowywał sobie na pomocnika gospodarskiego.

Oczywiście nie mogło być mowy, aby „pupilka“ mogła zostać żoną owego praktykanta. Młodzi więc urządzili się tak, że gdy panna doszła do pełnoletności, wzięła ślub potajemnie w parafii pana młodego za indultem, gdzieś w kieleckiem.

Upatrzony przez krewnych mąż nie nalegał na pospiech, gdyż chciał wyszumieć i bawił się wesoło.

Opiekunowie starzeli się i pozostawiali pupilce dużo swobody, to też przez lat coś trzy, wyjeżdżała ona co roku na czas dłuższy od nich.

„Praktykant“, który już był objął zarząd majątkiem, sprowadził siostrę, podając ją urzędowo za swą żonę, która towarzyszyła w podróżach przyszłej dziedziczce. Ta po powrocie z wojażu przesiadywała długo i często u „rządcostwa“, bawiąc się maleństwami, które uchodziły za dzieci rządczyni.

Było ich troje, kiedy umarł stary opiekun pupilki. Ogłoszono testament, czyniący ją generalną spadkobierczynią bez żadnych zastrzeżeń.

Upatrzony dla niej na męża młodzieniec spostrzegł, iż czas już się ożenić.

Przyjechał pewny, że tylko mowa będzie o ślubie, tymczasem „narzeczona“ przedstawiła mu troje ślicznych bobów.

Oczywiście i ten ślub przestał być tajemnicą.

Oznaczenie wieku ziemi.

Kometa Halley'a przypomniała szerszemu ogółowi nazwisko znakomitego astronoma, uczonym zaś inne jego prace nietylko z zakresu astronomii. Halley zajmował się bowiem także licznemi innemi problemami wiedzy przyrodniczej i dochodził nieraz do bardzo interesujących i oryginalnych wyników. Niestety prawie wszystkie jego dzieła zostały zapomniane. Znany geolog G. Becker przypomina obecnie jedno z nich wydane po angielsku w r. 1715, nie tłómaczone nigdy na żadne języki, a traktujące o przyczynach zawartości soli w oceanach i rozmaitych jeziorach oraz o sposobie zbadania tą drogą wieku ziemi. Halley opiera się



Wojsko polskie z 1831-go roku.

w swem dziele na spostrzeżeniu, że rozmaite jeziora i morza mają rozmaitą zawartość soli. Bierze on w rachubę tylko te jeziora, które przyjmują dopływy, lecz nie mają odpływów, w których więc przyniesiona dopływem ilość soli stale pozostaje, zwiększając się powoli, lecz ustawicznie. Gdyby więc — powiada Halley — udało się oznaczyć przyrost zawartości soli w pewnem jeziorze z uwzględnieniem ilości dopływów i wielkości i głębokości jeziora, to tem samem byłby znaleziony sposób obliczenia czasu, którego było potrzeba, aby jezioro czy morze posiadało tę ilość soli, jaką w danej chwili posiada. Kwestyę tę mogłaby oczywiście rozwiązać tylko obserwacya, trwająca przez stulecia. Halley żałuje też, że uczeni nie zajęli się tą sprawą i że zwłaszcza w dziełach pisarzy greckich i rzymskich nie uwzględniano jej wcale. Zdaniem jego zubożyło to wiedzę o doniosłe zdobycze, bo tą drogą możnaby powoli zbadać, jakiego okresu czasu było potrzeba do zaopatrzenia jeziór i mórz w obecną zawartość soli co znowu pozwoliłoby wyciągnąć pewne wnioski o wieku ziemi, a przynajmniej o pewnym okresie jej dziejów. Dzieło Halley'a nie wywołało jednak i u współczesnych zainteresowania, jak wyżej wspomniano. Oczywiście Halley nie mógł jeszcze wiedzieć tego, czego uczy dzisiejsza geologia, że stosunek wód i lądów uległ w ciągu rozmaitych epok geologicznych licznym istotnym zmianom, że więc najtroskliwiej nawet gromadzone obserwacye takie, jakich żądał, mogłyby dać tylko bardzo niedostateczny obraz przeszłości kuli ziemskiej.

KAPELUSZ MOJEJ ŻONY.

Jak wygląda? Mięszanina piór, kwiatów i rozmaitego zielska, na którego widok botanik dostałby mdłości. — Pośród tej bajecznej floty znajduje się bajeczna fauna pod postacią ptaka, jaskrawo przemalowanego na użytek mody, jak się to czasem zdarza arcydziełom pędzla.

Ile kosztuje? Żona twierdzi, że „tylko“ 60 koron, ale zdaje mi się, że drugie tyle „wisi“ u dyskretnej modniarki. Nie badam, ażeby nie wywołać wilka z lasu.

Jak wielki jest? To najważniejsze pytanie. Widzieliście kiedy bajecznie popisowy krąg sera szwajcarskiego na wystawie galicyjskiej? Albo owe kołowroty na dwóch kołach, która posiada miejski zakład czyszczenia, a na których owinięty jest wąż do skrapiania ulic? A kto nie widział żadnego z tych przedmiotów, tego w inny sposób zaznajomię z wielkością kapelusza mojej żony. Przynieśli go do domu z magazynu mód aż dwaj ekspresi. Cały las do „Zbójców“ Schillera dźwiga także tylko dwóch ekspresów. Łatwo przynieść do domu kapelusz, ale gdzie go ulokować. W salonie oczywiście niepodobna. — Salon jest od tego, ażeby cały tydzień był zamknięty, z wyjątkiem owego, dnia który się nazywa „jour fixe“, a który w salonie gromadzi kilkanaście osób na polędwicę, wino i plotki.

— Możeby w sypialni pod łóżkiem? — odezwałem się nieśmiało.

Niestety, pudło z kapeluszem było za wysokie. Gdybyśmy nawet umieścili małżeńskie łóżko na szklanych podstawkach, podobnie, jak fortepian, byłoby jeszcze nisko. Kombinuje żona, kombinuje bona, dorzucam pomysły i ja — wszystko bezskutecznie. W sypialni miejsca dla kapelusza niema. Pod jedną ścianą stoją dwa łóżka małżeńskie, wyśmiane przez Krasińskiego w „Nieboskiej“. Drugą ścianę w całości zajmuje umywalnia, mająca po obu stronach „apteczki“ z pudrem, mydełkami, pastami, kremami i wodami rozmaitego rodzaju. Pod trzecią ścianą zajęła miejsce potworna kanapa „staroniemiecka“, zaś po bokach jej wznoszą się dwie szafy, niby dwa forty niezdobyte. Wiszą w nich stroje mojej żony. Są to oczywiście tylko podręczne szafy z codziennemi kostyumami. — Inne stroje spoczywają w ogromnych kufrach, ulokowanych pod czwartą ścianą, w której znajdują się drzwi.

Pudło z kapeluszem wędruje do trzeciego pokoju, w którym pod opieką bony śpi dwoje dzieci. Każde z trzech stojących tutaj łóżek jest dostatecznie wysokie, niestety z pod każdego wystaje połowa pudła. A postawić pudło na ziemi? A gdzie będą bawić się dzieci? Zresztą dzieci są już tak „mądre“, że do naszych kaloszów leją wodę, warkocza bony używają do gry w pytkę, a pewnego razu ubrały naszego poczciwego Azora w sznurówkę. Wracamy do sypialni.

— Wiesz powiada żona, gdy bona odeszła do dzieci, które zaczęły uprawiać z płaczem politykę pięści — w pokoju dziecinnym nie mogę zostawić kapelusza idę o zakład, że bona próbowałaby go codziennie. Sama myśl o czemś podobnem drażni mnie.

— Zazdrosnaś o kapelusz więcej niż o męża.

Żona spojrzała na mnie tak, jak to na mężów spoglądają żony po dziesięcioletniem pożyciu małżeńskiem. Mąż, a kapelusz! Dobry sobie.



Zakonnica.

— Niema innej rady — rzekła wreszcie żona po dłuższym namyśle. — Kapelusz musi być w twoim pokoju.

— Bój się Boga! — zawołałem zrozpaczony.

— Niema innej rady, przecież nie wyniosę kapelusza na strych.

Skrupiło się tedy na mnie. Pudło z kapeluszem stoi na podłodze w moim pokoju, w którym już niema dla mnie miejsca. Mogę tylko na sofie spać po południu. Przy biurku nie mogę już pisać, gdyż niema gdzie postawić krzesła. Chyba usiąść po japońsku na podłodze, a pisać na potwornem pudle. Ale to byłoby profanacyą kapelusza.

Pocieszam się tą myślą, że żona za kilka dni wyjeżdża do kąpieli, zabierając oczywiście kapelusz. Transport koleją nie będzie łatwy. Ale żona obmyśliła już wszystko. Misterne rusztowanie z patyczków, drutów i sznurków gumowych, będzie wewnątrz pudła trzymać kapelusz w zupełnej równowadze. Na wierzchu napis czerwonemi literami: „Ostrożnie! Nie rzucać!“ Kolejarze znają takie pudła i takie napisy. Niema obawy o kapelusz.

Ale jeden pokój w pensyonacie nie pomieści kufrów, kuferków, walizek i... pudła z kapeluszem, żona już rozpaczała. Pisałem do tamtejszego znajomego obywatela, prosząc go, ażeby odstąpił stodołę na kapelusz. Odpisał: „Mądry! Przecież to żniwa i stodoły potrzebuję na zboże“. Rozpacz jest matką dobrych pomysłów. Wiem, że w kąpielach znajduje się hangar na automobile. Zamówię w nim miejsce na kapelusz mojej żony.

Chciwość nienasycona.

Temat do nowelki. Opowiadał go jeden z amerykańskich Polaków tylko co przybyły do Warszawy:

...Na okręcie, który dążył do Hamburga, mieliśmy kilkudziesięciu polskich chłopków z Płockiego, wracających do domu, każdy z trochą gotówki. Każdy też na razie miał dosyć Hameryki i wracał do dom, stęskniony i radosny.

Ku końcowi podróży ogarnęła moich rodaków wielka niecierpliwość i w zbitej gromadce, bardzo podnieconej, wszyscy mówili naraz, tworząc harmider, będący powitaniem przeczuwanego lądu.

Naraz ukazało się w dali i nisko coś sinego i mglistego.

— Ziemia! ziemia! — poczęli krzyczeć chłopkowie.

I posiadł ich szał radości.

Zaczęli się przebierać w czyste koszule, jak do święta, a stare, brudne i aż czarne gałgany, które nosili na sobie, we dnie i w nocy, przez całą podróż, w porywie zapamiętania się, ciskali ze śmiechem do morza.

Naraz z tej grupki, jakby oszalałej z ukontentowania, rozległ się krzyk przeraźliwy...

Pokazało się, że jeden z chłopków w tem zapamiętaniu cisnął do wody koszulę, w której zaszył cały swój zarobek amerykański, siedmdziesiąt rubli.

I teraz szalał z rozpaczy...

Krzyczał, rwał sobie włosy na głowie, błagalnemi gestami obejmował nogi swoich towarzyszy. Wreszcie wyskoczył na górny pokład i kapitanowi do butów przypadł, wołając o zatrzymanie statku. W jego szarej, dziobatej, brzydkiej twarzy krzyczało tyle grozy tragicznej, że nie sposób było na nią patrzeć. A miarowe, obojętne warczenie śrub okrętowych poddawało krzykom jego kontrast spokoju, który stawał się nie do zniesienia.

Ale oto w kółku wykwintnych Anglików, stanowiących arystokracyę statku poinformowano się o tragedyi tego nieszczęśliwca i naprędce urządzono składkę. Zebrano siedmdziesiąt rubli w angielskich funtach i wręczono biedakowi, który już zdawał się niedalekim obłędu.

A tymczasem mgła ciężka na wschodzie zgęstniała już i widać było kominy statków w porcie.

Zbliżyłem się do chłopa... stał oparty o ścianę i gorzko płakał cichemi łzami.

— Czegoż wy się jeszcze martwicie? — zapytałem zdziwiony.

— Jak się nie mam martwić — odrzekł mi, połykając łzy — kiej gdyby nie moje zapamiętanie się, miałbym teraz sto czterdzieści rubli...

Perip.

* *

Przyczyny osiwienia.

W powieściach spotyka się nieraz historye o nagłem osiwieniu jakiegoś człowieka. Czasem opowiadają o tem także dziwne rzeczy ludzie przedwcześnie osiwiali. Inaczej zapatrują się na tę kwestyę lekarze. W jednym z ostatnich numerów tygodnika Deutsche medizinische Wochenschrift zastanawia się nad nagłem posiwieniem z powodu przestrachu czy innego wzruszenia profesor królewiecki Stieda i dochodzi do wniosku, że wszystkie podobne opowieści, powtarzające się w starej i nowej literaturze, nie wytrzymują krytyki ze stanowiska naukowego. Uczony twierdzi, że wiadomości takie opierają się zawsze na opowiadaniu samych interesowanych, a nigdy na na obserwacyach lekarzy. W licznych wypadkach polegają także na rozmyślnem złudzeniu samychże posiwiałych. Przyczyną a zarazem i wytłumaczeniem fizyologicznego i nagłego patologicznego siwienia włosów uważano albo zanik pigmentu, pierwiastka nadającego włosom barwę, albo chorobę samych włosów. Zdaniem profesora Stieda'ego żadna z tych teoryi nie może się ostać wobec nauki.

Przyczyną zwykłego siwienia włosów w wieku wcześniejszym czy późniejszym, jest raczej, jak twierdzi to, że ciemne włosy wypadają, a na ich miejsce wyrastają bezbarwe białe. Tak więc siwienie nie byłoby niczem innem jak zmianą włosów. Rzadziej zachodzi inny wypadek, że ciemne włosy nie wypadają lecz rosną dalej, podczas gdy w odrastającej części włosa przestaje się wytwarzać pigment, wskutek czego ta dolna część jest bezbarwna. Jeżeli w tym wypadku ostrzyże się włosy, głowa z ciemnej staje się nagle białą. Zanik pigmentu we włosach trzeba niewątpliwie przypisywać zaburzeniom w odżywianiu się cebulek włosowych, jednakże szczegóły tej choroby nie są dokładniej znane. Ponieważ i w tym wypadku zanik pigmentu jest bardzo powolny, nie może być mowy o nagłem posiwieniu. Prof. Stieda twierdzi również, że wszystkie wypadki, o jakich



List miłosny.

wspomina historya, a które zebrał Elbe w swej sławnej książce o włosach, nie mają uzasadnienia naukowego. Zdaniem jego, nagłe te posiwienia przypisać raczej należy temu, że dotyczące osoby zapomniały lub nie mogły użyć środka do farbowania włosów, jakim się w zwykłych warunkach posługiwały.

PRĄD MIŁOSNY.

W Springfield, Mass., w Stan. Zjedn. dr. Judson Bradley zapewnia, iż odkrył prąd miłosny, który jego zdaniem więcej światu dobrego przyniesie niż elektryczność, radium, oraz inne znane dotychczas siły, ponieważ zapobiegnie rozwodom i uczyni wszystkie małżeństwa szczęśliwymi.

Dr. Bradley na swojej małej farmie, w Springfield posiada laboratoryum, gdzie od wielu lat urządzał doświadczenia dla odkrycia tajemniczej siły, która przyciąga dwoje ludzi lgnących do siebie jak igła do magnesu.

Odkrywca robił doświadczenia na rozmaitych ludziach, kobietach i mężczyznach z niejednakowym skutkiem, aż w końcu przyszedł do wniosku, że odkrył sekret miłości i użyje go na pożytek ludzi.

Dr. Bradley sam szczerze wierzy w swój wynalazek i darmo robi doświadczenia na tych, którzy się do niego zgłoszą. Przez pocztę nie chce dawać rad ludziom zakochanym, oświadczając, że odkryty przez niego prąd miłosny, który nazwał „Lovino“ wtedy działa, gdy pacyentów ma przed sobą.

Nie zadaje on żadnych pytań przybywającym parom, które chciałyby się kochać lub myślą, że się kochają. Stawia on tylko mężczyznę po lewej stronie a kobietę po prawej, sam staje w środku; następnie opiera końce palców lewej ręki na głowie kobiety u podstawy mózgu, i końce palców prawej ręki w tem samem miejscu na głowie mężczyzny. W pozycyi tej pozostaje doktor przez pięć minut, rzadko dłużej i pod koniec tego doświadczenia widać, czy dana para będzie ze sobą szczęśliwa, lub nie.

U jednych bowiem objawia się wyraz zadowolenia na twarzy, a u drugich widać bolesny wyraz oblicza. Wyraz ukontentowania dowodzi, że dana para może myśleć o połączeniu się węzłem małżeńskim.

Uczucia bolesne, jakie się zauważyć dają na twarzach niefortunnych par, są dowodem, że para po zawarciu ślubów małżeńskich nie byłaby ze sobą szczęśliwą. Doktor radzi takim, aby unikały się i uciekały od siebie jak najdalej.

„Lovino“ podług doktora Bradleya jest taką samą siłą jak para lub elektryczność.

Doktor zapewnia, iż nauka zbadała, że siedliskiem miłości u człowieka jest podstawa mózgu. Kładąc ręce na głowy dwojga kochanków wywołuje drganie prądu lovino.

Oszczędność, aby gromadzić tylko pieniądze, jest rzeczą marną i nikczemną; ale oszczędzać, aby módz zachować swą niezależność, jest sprawiedliwem i godnem męża.

John Lubbok.

* * *

Oszczędność jest źródłem niepodległości i swobody.

Pani Geoffrin.

Upośledzone zwierzę.

Do zwierząt najniesłuszniej lekceważonych przez człowieka cywilizowanego należy osieł. Zostaje on dawniej niż koń w usługach ludzi, pracuje dla nich z wielkim pożytkiem, a jednak nie jest należycie oceniany, jest nawet traktowany z pogardą. Zarzucamy mu wady, jakich nie posiada, lub jakie nabywa wskutek złego obchodzenia się z nim, oraz wskutek przeciążenia go pracą. Znacznie mniejszy wzrost, krótka grzywa, długie uszy i krótkim włosem porosły, a tylko na końcu kiścią dłuższych włosów opatrzony ogon, odróżniają go od pokrewnego mu konia. Do tego możnaby dodaść maść stale szarą; odmianę stanowi jedynie czarna pręga wzdłuż grzbietu, z którą krzyżuje się inna, znajdująca się na łopatkach. Są jednak osły białe, ciemne, czarne, rude i gniade.

O temperamencie osła nie można sądzić z tych nędznych okazów, jakie napotykamy w Europie północnej; w krajach południowych przedstawia się on zupełnie inaczej, a za morzem Śródziemnem, w Arabii, Egipcie i Persyi, staje się niezbędnem, jucznem i wierzchowem zwierzęciem, tem pożyteczniejszem, iż zadawala się najlichszym pokarmem i dobrze się przy nim utrzymuje, jeżeli tylko nie będzie zaniedbywany i przeciążany pracą, co się tak często zdarza w Europie. Nie można się dziwić, że wśród poniewierki, marnieje fizycznie i duchowo, staje się obrazem najstraszliwszej nędzy.

Jak koń jest przedewszystkiem zwierzęciem wierzchowem, pociągowem, tak osieł zwierzęciem jucznem, do czego usposabia go silny grzbiet, powolność i pewny a ostrożny chód. Połączenie tych zalet udało się człowiekowi w hodowli mułów, których istnieją dwa gatunki: pierwszy jest wytworem połączenia klaczy z osłem, wzrostem dorównywa koniowi, po ośle odziedziczył wązki ale silny krzyż, długie uszy, ciasne kopyta i krowi ogon, a nadto zachował właściwy, bardzo nieharmonijny ryk ośli; drugi ma ojcem ogiera konia a matką oślicę, do której też więcej kształtem jest zbliżony, tylko po ojcu odziedziczył włosisty ogon i rżenie; ten drugi gatunek dobrze dźwiga ciężary na grzbiecie, lecz pod względem powolności nie o wiele przewyższa osła i dlatego chów jego jest mało rozpowszechniony.

Trafną charakterystykę osła podał zoolog francuski. Pisze w niej: „Osieł jest o tyle pokorny, cierpliwy i spokojny, o ile koń jest dumny,

ognisty i gwałtowny; umiarkowany co do ilości pożywienia, zadawala się najniestrawniejszą paszą, mimo to z jednaką rezygnacyą i wytrwałością wypełnia najcięższe prace.

„Ojczyzną osła jest Arabia, stamtąd rozpowszechnił się po całym świecie, jako najcierpliwszy i najbardziej oddany sługa człowieka. Piękny, zwinny, lekki i szybki w swej ojczyźnie, stracił te przymioty oddalając się od niej, a wskutek pozostawania wśród klimatów chłodnych i wilgotnych oraz wskutek nadmiernego obarczania pracą, stał się zwierzęciem niezgrabnem, ciężkiem, skarlałem, które jednak z bezgraniczną cierpliwością dźwiga na swoim grzbiecie nasze dzieci i rozmaite ciężary. Arab szanuje go, kocha, pielęgnuje na równi z koniem i często drożej go opłaca. Egipcyanin uważa go za podstawę swej zamożności, okazuje mu szczególne względy, troskliwie myje go i czyści. Bogaty pielgrzym muzułmański, dążący do Mekki, wódz karawany, przebywający pustynie, nie znają doskonalszego wierzchowca. Żołnierz perski również używa go pod wierzch i nie może się obejść bez niego w wyprawach wojennych. Osieł ma nadto zasługi historyczne. On to przecież pomógł Cyrusowi pokonać słynną konnicę Scytów, przeraziwszy ją swoim strasznym rykiem.

Ale i w Europie spotyka się piękną rasę osła, zwłaszcza we Włoszech, Hiszpanii i Portugalii. Dźwiga on z powagą na spacerze piękne panie w Kadyksie, Sewilli lub Lizbonie, dumny ze wstążek przystrajających jego uszy i ogon, a za nim postępuje lokaj z biczem, zupełnie zresztą zbytecznym. Tu osieł zachował właściwą swoją piękną powierzchowność i wszelkie zalety; gdzieindziej natomiast niedbała hodowla i złe obejście zeszpeciły go, nie odejmując mu jednak zalet. Skarlały, wychudły, szpetny, służy wytrwale i cierpliwie człowiekowi".

Znane są też dzikie okazy osła. W Azyi środkowej napotykamy ich dwa: we wschodniej części mieszka dżigetaj, w zachodniej onager; ten ostatni uważany jest jako pierwowzór, od którego pochodzi nasz osieł domowy. Oba żyją w wielkich stadach i gdy onager na zimę przechodzi z Tartaryi na południe, można po stadach naliczyć ich tysiące. Nadto w Egipcie, pomiędzy Nilem a morzem Czerwonem, mieszka dziki osieł afrykański hamar, mający z egipskim osłem domowym tak wiele podobieństwa, że pochodzenie tego ostatniego od hamara zdaje się być niewątpliwem.

Chusteczka do nosa.

Dr. Thom, specyalista chorób płuc i gardła, w swoich broszurach traktujących o pielęgnowaniu zdrowia, w ten sposób się wyraża w artykule „o przenoszeniu bakcyli tuberkulicznych": Do osadników chorób wzmiankowanych wyżej, należy bez zaprzeczenia — chustka do nosa. Wprawdzie przez pilne i częste jej zmienianie, można zawsze mieć czystą, ale cóż dzieje się z kieszenią, która zawsze jedna pozostaje i w którą się chustkę wkłada. Proszę tylko zauważyć, zupełnie na pozór niewinną chorobę, — jak katar! — Kieszeń — pralną bywa tylko w sukniach z materyi pralnych. Przeróżne absurda i niemożliwości w modę wprowadzają, a dotąd nikt nie wpadł na pomysł, — kieszeni — którą można by łatwo przypinać i odpinać, ażeby ją wraz z chustkami wyprać i wygotować, a tak by to łatwo było! Poddana teroryzmowi mody, niezawodnieby się ta myśl przyjęła i tysiące chorych możeby uratowała. Niedojrzane okiem bakcyle mnożą się w kieszeni, i każdą chustkę czystą zarażają, szczególnie chustki używane przez kaszlących z początkami suchot, któreby może jeszcze dały się przytłumić, tym sposobem rozwijają się w szalenie prędkim przeciągu czasu, i nie tylko dla chorego stają się przyczyną przedwczesnej może śmierci, ale udzielają się i tym, którzy rąk jego dotykają. Przez codzienną. zmianę i pranie kieszeni i woreczków przeznaczonych na chustki, o dziesiątą część zmniejszyłoby się niebezpieczeństwo zarazków.

Niestety lekarz ma mniej władzy przekonania ludzkości o pożytku zdrowia i konieczności dopomagania do utrzymania tegoż aniżeli — krawiec — wmawiający piękności mody. — W Japonii podobno ludzie — do spluwania i do nosa używają cienkich papierowych chusteczek — które po użyciu wyrzucają i palą. Naród ten, do niedawna uważany za dziki — nie pojmuje, jak można chować do kieszeni chustkę z jej — zawartością... U nas jednak, tak dawno cywilizowanych, byłoby to prawdopodobnie — niestety! — niepodobieństwem!

Mówiący zegar.

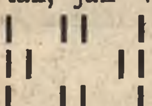
Jedną z nowości mechaniki, mogącą znaleźć praktyczne zastosowanie, jest mówiący zegar. Nie różni się on wcale wyglądem od zegara zwykłego ze wskazówkami przesuwającemy się normalnie;

w chwilach między kwadransami nie zwróci też zegar niczyjej uwagi. Dopiero, gdy wskazówka stanie na godzinie, czy półgodzinie, czy kwadransie, zegar odzywa się nagle donośnym głosem: „dwunasta!“, „dwunasta piętnaście!“, „wpół do pierwszej!“ itd. Mechanizm zegara jest mianowicie połączony z silną elastyczną wstążką, służącą za błonę fongraficzną aparatowi mówiącemu, ukrytemu wewnątrz skrzynki. Wypowiadanie godzin zapisuje się zwykłą metodą fonograficzną na płycie miedzianej, a następnie znaki reprodukuje się na błonie. Wskazówki zegara pozostają w ścisłym związku z aparatem mówiącym, głos wydobywa się z lejka, umieszczonego poza otworem na szczycie zegara. Nieprawidłowe działanie lub różnice między czasem wskazywanym a wymawianym są absolutnie wykluczone, ponieważ błonka obraca się za pośrednictwem mechanizmu zegarowego, rónomiernie ze wskazówkami. Po wypowiedzeniu wszystkich godzin błonka nastawia się automatycznie, w razie jakichś nieprawidłowości w jej ruchu regar staje. Błonka jest poprostu niezniszczalna, wobec czego mówiący zegar nie wymaga częstszej naprawy, aniżeli zwyczajny.

DLA ROZRYWKI

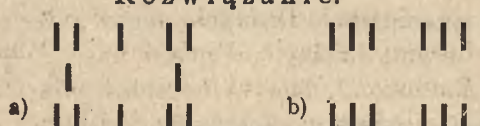
Figielki z zapałkami.

Wzdłuż murów kwadratowej twierdzy wypadło rozstawić 12 wart. Kapitan roty umieścił je tak, jak wskazuje rysunek, t. j. po 4 z każdej



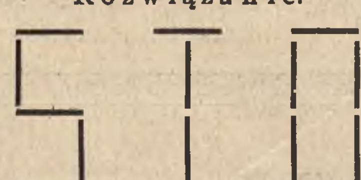
strony. Pułkownik, niezadowolony z tej dyspozycyi, oświadczył że pragnie mieć po 5 forpocztów z każdej strony i zrobił odpowiednie zarządzenie. Generał uznał jednak, że na każdej stronie powinno stać sześć posterunków, wskutek czego nastąpiła nowa zmiana. Jak dokonano tych dwu zmian ostatnich?

Rozwiązanie:

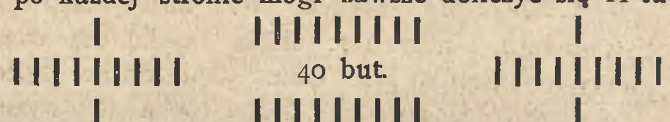


Jak można z 14-tu zapałek zrobić 100?

Rozwiązanie:

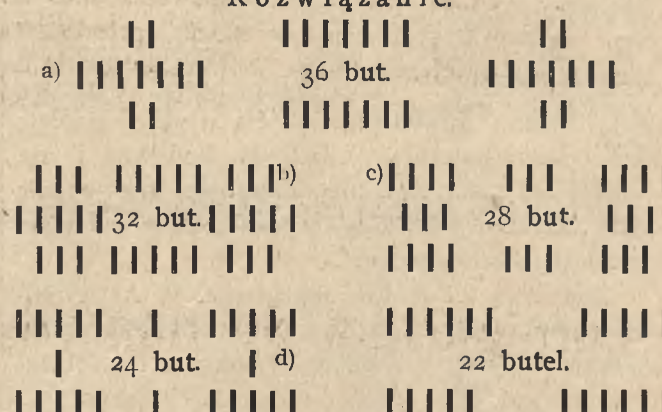


Pewien obywatel otrzymał w podarunku 40 butelek starego węgrzyna. Nie dowierzając służącemu, porozstawiał butelki w piwnicy tak, że po każdej stronie mógł zawsze doliczyć się 11-tu

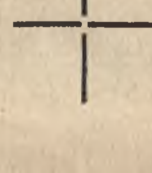


butelek. Służący jednak ukradł stopniowo 4, 4, 4, 4, i 2 butelki (razem 18), a właściciel straty nie spostrzegł, zawsze bowiem po każdej stronie było 11. Jakże służący to robił?

Rozwiązanie.



Na denku popielniczki, spodku lub t. p. ułożyć gwiazdkę z zapałek łepkami do środka i poprosić kogoś, ażeby ująwszy za jedną z zapałek podniósł całą gwiazdę do góry. Naturalnie, nikt bez połączenia zapałek tego zrobić nie może. Połączyć dadzą się zaś tylko przez jednoczesne zapalenie wszystkich łepków jedną zapałką. Przypuśćmy, że zapałki zostały połączone w kształcie krzyża. Chcąc podnieść wszyst-



kie cztery jednocześnie, zapala się piątą zapałkę i ogień jej przytyka się ostrożnie do łepków krzyża. Wtedy po chwili, nastąpi lekki wybuch, który przez szybkie dmuchnięcie stłumić należy; siarka połączy opalone łepki i cały krzyż da się podnieść przez proste ujęcie jednego z jego ramion. Zachochowując odpowiednią ostrożność, można doprowadzić gwiazdę do 16-tu zapałek, a wtedy utworzy się wcale ładna figura.

Ukryty przedmiot.

Gra towarzyska.

Jedna z osób wychodzi do drugiego pokoju, a towarzystwo ukrywa jakiś przedmiot. Osoba wraca i zaczyna szukać za podszeptem akordów na fortepianie, znaków, dawanych nożem po szklance chrząkań itp. Wskazówki te są o tyle głośniejsze, o ile szukający jest bliżej ukrytego przedmiotu, i natomiast cichną, o ile się odeń oddala. Jeżeli w pięć minut znaleźć nie może, płaci fant, i wyręcza go druga osoba, jak wyżej.

Daleko trudniejszy waryant poprzedniego stanowi nietylko odgadnienie przedmiotu, ale wykonanie z nim lub przy nim tego, co towarzystwo obmyśli. Np. zbliżyć się do świecy, zdjąć z niej profitkę i zgasić płomień. Niepowodzeniem zrażać się nie trzeba, owszem należy przewidywać jaknajzabawniejsze sytuacye, byle zabawa była najweselszą. Fant — jak wyżej, po upływie pięciu minut.

Łamigłówka do nagrody.

*			Nazwa gotującego płynu
	*		Rzeka w półn. Afryce
		*	Osoba biblijna
	*		Mieszkania pszczół
*			Wykonawca wyroku śmierci
	*		Zwierzę domowe
		*	Inaczej zdobycz
	*		Okres czasu
*			Zwierzę dzikie
	*		Owad
		*	Skorupiak
	*		Nazwa miesiąca

Litery oznaczone gwiazdkami, czytane z góry do dołu, tworzą nazwę części dawnej Polski.

Dokładne rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać najpóźniej do 6. października na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 42.

Rozwiązania

łamigłówek zamieszczonych w nr. 38.:

Szarada: Nie—go—lew—ski.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Justyn Cholewik, Zygmunt Gaudnik, Emil Gruszecki, Jan Inglot, Otylia Kostańska, Z. Maślakiewicz, Wacław Nowosielecki, Stanisław Pec, Aleksander Stobiecki, Piotr Stolarzewicz.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Kazimierz i Walenty Balcerski, S. Bartkiewicz, M. Bembista, Anna Hofman, Halina Jarnatowska, Halinka Jordanówna, K. Kempa, Zygmunt Krajewski, Marya Konopińska, A. Kujawski, W. Leszczyńska, Krysia Maciejowska, Stanisław Markowiak, Hieronim Piechocki, Helena Piechowiak, Leokadya Prewoźniak, Tadeusz Przybyszewski, Zofia Stachowska, J. Strugarek.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Stefania Dużyńska z Dolnych Łużyc (Brandenburgia), Pelagia Dłużewska z Rummelsburg p. Berlinem, Hieronim Jaworowski z Drezna, Helena Sokołowska z Berlina, Emilia Świątkowska z Monachium, Stefan Wytyk z Sodingen (Westfalia).

Nagrodę otrzymali:

pp. Helena Sokołowska z Berlina (Kochstr. 19.), Tadeysz Przybyszewski z Inowrocławia, Jan Inglot z Strażowa (Galicya), Stanisław Pec z Krakowa.

Uwaga: *Przy rozdawaniu nagród nie uwzględniamy pseudonimów.*

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZOWNA.

WRZOS

NR 40

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Ramszycowa spojrzała w tę stronę i rzekła do Kazi z uśmiechem:

— Idź! powiedz jej, że lubi dzieci, to się obrazi, jak o największy afront.

Doktor Downar zbliżył się do Ocieskiej i spytał:

— Nie miała pani listu od Kazimierza?

— Owszem, wczoraj.

— Cóż u nas słychać? — pytał zniżając głos.

— Bahnicki wisi na włosku. Marszałkowa umarła. Dowojna się żeni. U pana Floryana dzieci chore na szkarlatynę.

— „Przezto" i nie pisze! — mruknął Downar, który, gdy się nie pilnował, zawsze popełniał prowincyonalizmy. Bahnickiemu pan Kazimierz zginąć nie da. Niechajże i do mnie napisze, ile trzeba, ale do pani adresując. A kogo bierze Dowojna?

— Suliską.

— To i dobrze. Marszałkowej szkoda, i zły i dobry na nią się oglądał i rachował!

— No — i co żuk zrobił, jak go wróbel złapał? — dopominała się Lili.

Downar powrócił na swe poprzednie miejsce.

— Opowiadają, że profesor cudu dokonał operując Rudnickiego! — rzekła Kazia.

— Ot, gadanie! — odparł Downar. Będzie cud, jak wyżyje.

— A co mu jest? — spytała Ramszycowa.

— Wczoraj się pojedynkował i dostał postrzał w bok.

— Rudnicki, mąż tej pięknej pani Rudnickiej! — zawołała Ocieska. Onegdaj była u mnie! — Malowałam jej portret. Z kim się pojedynkował?

— Z jakimś Ossoryą, kolegą z biura u Goldmarka.

— A naprawdę, jeśli umrze, zabójcą będzie społeczeństwo! — rzuciła gorąco Kazia.

Downar potakująco skinął głową.

— Rudnicki pracą i zdolnością wybił się nad tłum, z niskiego urzędnika został szefem biura Goldmarka, jego prawą ręką. Nikt mu nic zarzucić nie może, ale przecie nie wolno uznać cnoty i zasługi, pochwalić, zostawić chociażby w spokoju. Ponieważ jego opinii nie sposób było zbrudzić, zbrudzono opinię jego żony, bo

przecie niema i być nie może kobiety uczciwej, a już piękna kobieta musi być bez czci.

— A to jest łgarstwo! — rzekł Downar — bo Rudniccy się kochają i jak najlepiej żyją!

— Ale to nie przeszkadza, że dla Warszawy Rudnicka ma romans z Goldmarkiem, a mąż temu zawdzięcza karyerę.

— Z Goldmarkiem! — uśmiechnął się Downar. Toć on ma tabes i ledwie żyje. Ech! — I ręką machnął pogardliwie.

— Ossorya to paniczek, którego przez protekcyę wpakowano do biura. Nic nie chciał robić, wreszcie prawie nie przychodził, tylko po pensyę. Rudnicki dał mu dymisyę, ten mu odpowiedział obelgą na żonę, i teraz go może zabił dla dokończenia honorowego rachunku!

— A choćby żył, co lepszego! — ruszyła ramionami Ramszycowa, i sięgnęła po notatnik na biurku. — Gdzie oni mieszkają — spytała.

Kazia powiedziała adres.

— On leży u mnie w klinice. Tam niech pani przyjdzie! — dodał Downar.

— Zkąd pan wie, że mam być?

— Bo to do pani podobne.

Sokolski, milczący dotąd, odezwał się.

— Jak to dobrze, że nie mam żony ni przyjaciół.

— Dlaczego? że pana ludzie nie obmówią! — zaśmiała się Ocieska. — Za pozwoleniem, cała Warszawa wie, że pan wcale ani w Kongo, ani pod biegunem nie był, tylko trzy lata siedział w Wiedniu, wertował podróżnicze księgi i tam czerpał materyał do swych opisów i odczytów.

Sokolski otworzył szeroko oczy.

— Ja? w Wiedniu? — wyjąkał zdumiony.

Wszyscy parsknęli śmiechem z jego miny, i Ramszycowa dodała:

— Dość o ludziach. Lili marsz spać!

Doktór spoglądał żałośnie na fortepian.

Zaśpiewa nam pani Sanicka, potem ja zagram, żebyśmy zgrzytu zapomnieli.

Lili spojrzała żałośnie na rysunki, ale usłuchała bez protestu.

Zniknęły z Angielką.

Kazia, nie dając się prosić, usiadła przy fortepianie, zaśpiewała parę pieśni Moniuszki. Głos miała czysty i silny, mało uczony, ale słuchacze nie myśleli o krytyce, cieszyli się melodyą w milczącem skupieniu.

Gdy skończyła, Ramszycowa podziękowała jej uśmiechem.

Downar tak był zamyślony, że nawet się nie poruszył, Ocieska rzuciła mrucząc: „Tam byłby raj, tam byłby raj, żebyś ty ze mną była. Sokolsk miał minę wniebowziętą!

W tej chwili, gdy Kazia jeszcze przygrywała melodyę, lokaj otworzył drzwi i zaanonsował:

— Pan Andrzej Sanicki!

Ramszycowa podniosła głowę zdziwiona: Proś! rzuciła wstając.

Fortepian umilkł w pół akordu.

Andrzej wszedł powitał wszystkich i rzekł do żony:

— Przyjechałem po ciebie.

— Ojciec zachorował? — spytała bledżąc.

— Zdrów. Nic strasznego, głupia historya! Skrzywił się.

Chwilę rozmawiał potocznie, wreszcie wstał i rzekł do Ramszycowej:

— Pani daruje, żem tak wpadł i żonę porywam. Cudzy kłopot, gorzej czasem własnego!

— Zapewne dlatego, że pan pierwszy raz w życiu tego doświadcza! — rzekła złośliwie.

— I oby ostatni! — odparł.

Zaledwie wsiedli do powozu — rzekł:

— Małżeństwo Markhama zerwane!

— Taak? — mało ją to obeszło. — Spodziewałam się.

— Zkąd? To ta przeklęta Dąbska naplotkowała. Teraz co robić? Markham siedzi u nas i desperuje. Ojciec mnie po ciebie posłał. Co tu na to poradzić.

Pierwszy raz zwracał się do niej po radę. Ruszyła ramionami.

— Ja się wogóle dziwię, jak w tym steku plotek może się bodaj jedno małżeństwo skojarzyć.

— Czego te baby chcą od Markhama? Chłopak porządny, bogaty, solidny. Dwa karnawały odtańczył, dwa sezony odrautował. Zasypana była kwiatami i cukrami, służył, jak murzyn, dziesięć tysięcy rubli wpakował w konkury i urządzenie domu, a w przeddzień ślubu stara pisze, że dziecka niema na sprzedaż, że wobec uwłaczających wieści musi zobowiązanie uważać za zerwane i odsyła pierścionek. Trzeba być starą histeryczką, żeby podobną rzecz zmalować. A ten osieł Markham, zamiast plunąć i losowi podziękować, desperuje jak student. Jak się zaręczał, nie był zajęty, raptem zakochał się, idyota.

— Ale z tą aktorką nie zerwał! — rzekła Kazia spokojnie.

— Zapewne zerwał, a zresztą co im do tego? Panna nie powinna o tem wiedzieć, ani nawet rozumieć. Jeśli o to małżeństwo się rozejdzie, nie on, lecz ona się skompromituje.

— A jeśli ona go kocha i będzie wolała tę kompromitacyę, jak taki podział uczucia i upokorzenie!

— Ech, zawracanie głowy tą miłością! Ona chce wyjść za mąż, zrobić partyę...

— A on chce dostać pięćdziesiąt tysięcy na fabrykę. Dla takiej sumy można choć na czas jaki nie mieć aktorki na utrzymaniu. Nie żenować się wolno tylko żony bez posagu. Tysiące chcą względów i stawiają warunki.

Spojrzał na nią.

— Dowodzenie kobiece kończy się zawsze ukrytem: ja!

— Nie moje. Dziękuję Bogu, że pan dla mnie niema względów. Jak się nie kocha, to szczęście. Wracając do Markhama, służę pośrednictwem; pojadę do Dąbskich i zbadam kwestyę.

Powóz stanął.

Prezes spotkał ich w przedpokoju i odetchnął:

— To ci chryja dopiero. Markham siedzi nad listem i pierścionkiem i ma minę samobójcy.

Kazia weszła do salonu.

„Samobójca" zerwał się na jej widok i podał w milczeniu list.

Przeczytała, pokręciła głową i rzekła:

— Bardzo panu chodzi o pojednanie?

— No jakże! — wybuchnął. — Ślub zamówiony, ogłoszenia rozesłane, goście się zejdą. Pół Warszawy będzie. Trzeba nie mieć sumienia, żeby kogoś na taką śmieszność narazić!

— Aha! — uśmiechnęła się ironicznie. — I piramidy obstalowane! No, wobec tego, jadę do Dąbskich.

— Wiesz co, jedź i ty z nią! — rzekł prezes do Markhama, rad się pozbyć „samobójcy" z domu. — Zaczekasz w karecie. Jeśli jej się misya uda, to cię zawoła, a nie, no to...

— Szukaj sobie lepszej! — szepnęła mu w ucho złośliwie Kazia. Ucałowała starego i wyszła.

Gdy zostali sami z synem, prezes rzekł:

— Ona te baby przyprowadzi do opamiętania. Co? Może myśmy nie lepiej się urządzili? Cicho, prędko, spokojnie. I szczere złoto dostaliśmy.

Andrzej milczał.

— Maluczko, a będą nam zazdrościć. Kobiecina z każdym dniem pięknieje, nabiera szyku i taktu.

— I złego języka! — mruknął Andrzej.

— To dobrze. Nieda się! Bałem się, że będzie za pokorna i nieśmiała.

— Niema obawy. Kąsać potrafi.

— To dobrze! Niech jej nie zaczepiają.

— I owszem! Ale i mnie może zbraknąć cierpliwości słuchania impertynencyi!

— Tobie! A to ci tylko wstyd, że nie masz nic lepszego. Nie znajdziesz takiego, coby tobie współczuł!

— Ja też współczucia nie pragnę, ale spokoju.

— Spokoju ci jeszcze brakuje! Pokaż mi dom w Warszawie, gdzieby był taki ład i spokój, jak u nas!

Andrzej coś zamruczał i wyszedł do swego gabinetu.

Wrócił po chwili i zaczął odczytywać całodzienną korespondencyę.

Prezes wziął się do gazet, ale co chwila na zegar spoglądał.

Nareszcie o dziesiątej rozległ się dzwonek.

— No i cóż! — zawołał niecierpliwie.

— Piramidy się nie zmarnują, gapie mogą iść do Wizytek! Co to — panowie jeszcze nie pili herbaty! Józefie, dlaczegoście nie podali?

— Ja kazałem czekać na ciebie córuś! Opowiadaj, jak się to odbyło. Coś tak zdyszana?

— Biegłam tak, żeby się schronić od plotek i gawęd! Brr. Tom użyła. Wpadłam, jak między podkurzone osy.

Weszła do jadalni i krzątając się około herbaty, opowiadała:

— Więc — niechno przypomnę, bo tyle tego! Więc mówią, że Dąbska nazwała Markhamów żydami; mówią, że Markhamowa powiedziała, że łaskę robią, przyjmując jakąś tam pannę Zaleską do rodziny; mówią, że Markham powiedział, że się żeni, bo go złapano; mówią, że stara Zaleska miała romans z ogrodnikiem; mówią, że posag pójdzie na długi kawalerskie Markhama; mówią, że Emilka ma gors fałszywy — za to ostatnie najtrudniej mi ją było przebłagać i wyperswadować! Ale kto mówi, kto słyszał od samej Markhamowej, od Markhama, tego naturalnie niema.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— On! on! — krzyknął patryota — taki wielki, taki czarny, taki silny i obrosły jak niedźwiedź.

Fouquier pogardliwie wzruszył ramionami.

— Nowe głupstwo — rzekł — Maison-Rouge jest mały, chudy i wcale nie zarasta.

Patryota zasmucony opuścił ręce.

— Nic nie zaszkodzi, dobra chęć stanie za dobry uczynek. No, Simonie, teraz nasza kolej, spiesz się, bo czekają na mnie w kancelaryi, nadchodzi godzina śmiertelnych wozów.

— Nie mam nic nowego; dziecko zdrowe.

Patryota odwrócił się tak, aby nie zdawał się ciekawym, lecz aby wszystko mógł słyszeć.

— Odchodzę, jeżeli wam przeszkadzam — rzekł.

— Bądź zdrów — rzekł Simon.

— Żegnam — dodał Fouquier.

— Powiedz twemu przyjacielowi, żeś się omylił — dodał Simon.

— Dobrze, zaczekam na niego.

I to powiedziawszy Teodor, usunął się nieco i oparł o swą pałkę.

— A! malec zdrów — powiedział potem Fouquier — ale jego moralność?

— Ukształcam ją dowolnie.

— Mówi więc?

— Ilekroć pragnę tego.

— Sądzę, że mógłby świadczyć w procesie Antoniny.

— Ja nietylko tak sądzę, ale jestem tego pewny.

Teodor oparł się o kolumnę, oko zwrócił ku drzwiom, ale błądził niem bez celu, tymczasem oba jego uszy pokazały się z pod futrzanej czapki nagie i wytężone, może nic nie widział, ale niezawodnie bardzo wiele słyszał

— Zważ dobrze Simonie — mówił Fouquier — nie narażaj komisyi na daremne trudy; czyś ty pewny, że Kapet mówić będzie?

— Powie wszystko, co ja tylko zechcę.

— Powiedział ci to, o co go mamy zapytać?

— Powiedział.

— Obywatelu Simon, to co nam przyrzekasz, jest zbyt ważnem, zeznanie dziecka będzie wyrokiem śmierci dla jego matki.

— To też liczę na nie!

— Simon! Simon! zważ dobrze, co czynisz, powtarzam ci, od czasów Nerona nie słyszano o podobnych rzeczach — ponuro mruknął Fouquier.

— Chyba mnie bierzesz za zwierzę, obywatelu, kiedy mi ciągle jedno i to samo powtarzasz. Słuchaj no, czy skóra, kiedy ją włożę w wodę, nabiera giętkości?

— Być może... ale ja nie wiem o tem — odparł Fouquier.

— Otóż nabiera, wierz mi. Tak i mały Kapet w mojem ręku nabiera giętkości. Już ja mam moje właściwe sposoby na to.

— No, niech i tak będzie — wyjąkał Fouquier — czyś mi już wszystko powiedział?

— Jeszcze nie... Tylko co nie zapomniałem, składam ci denuncyacyą.

— Znowu! ty, widzę, chcesz mię zarzucić robotą?

— Trzebaż przecie służyć krajowi.

To mówiąc Simon, podał mu papier równie czarny jak skóra, o której dopiero mówił, ale mniej zapewne giętki.

Fouquier wziął go i czytał.

— Jeszcze ten twój obywatel Lorin, ty więc mocno nienawidzisz tego człowieka?

— Znajduję go zawsze nieprzyjaznym prawu. Wczoraj wieczór powiedział: „Dobranoc pani“ do jakiejś obywatelki, która mu się z okna kłaniała... Jutro mam nadzieję, że ci doniosę kilka słów o innym podejrzanym, o tym Maurycym, co to był na służbie w Temple podczas wypadku z ponsowym goździkiem.

— Byle coś dokładnego, pewnego — rzekł Fouquier, uśmiechając się do Simona. Podał mu

rękę i odwrócił się z pospiechem nie bardzo na korzyść szewca przemawiającym.

— Jakiej-że u djabła chcesz dokładności? wszak gilotynowano wszystkich, nawet mniej winnych.

— Cierpliwości, cierpliwości! — spokojnie odpowiedział Fouquier — razem wszystkiemu podołać trudno.

I szybko oddalił się.

Simon szukał wzrokiem swego obywatela Teodora ale go już w sali nie dostrzegł.

Zaledwie przebył zachodnią kratę, aż znowu ujrzał Teodora przy budce jednego pisarza. Towarzyszył mu sam mieszkaniec tej budki.

— O której godzinie zamykają kraty? — pytał Teodor tego człowieka.

— O piątej.

— A potem co tu robią?

— Nic, sala jest pusta aż do rana.

— I nie ma żadnych rontów? żadnych wizyt?

— Nie panie, zawsze baraki zamykane są na klucz.

Teodor usłyszawszy wyraz „panie", zmarszczył brwi i natychmiast z niedowierzaniem spojrzał w koło siebie.

— Czy drąg żelazny i pistolety są w baraku? — rzekł.

— Są, pod obiciem.

— Wracaj do domu... Ale, ale, pokaż mi jeszcze izbę trybunału, której niezakratowane okno wychodzi na dziedziniec przy placu Delfina.

— Na lewo między kolumnami, pod latarnią.

— Dobrze. Idź i miej konie na pogotowiu w umówionem miejscu!

— O! panie, dobrze idzie, dobrze idzi!... licz pan na mnie.

— Otóż przyjazna chwila, nikt nie patrzy,

— Już panie, będę się modlił za pana!

— Nie za mnie, ale wiesz za kogo masz się modlić! Bądź zdrów.

Obywatel Teodor rzuciwszy wymowne spojrzenie, tak zgrabnie wsunął się pod niski daszek baraku, że znikł niby cień pisarza zamykającego barak.

Zacny ten pisarz wyjął klucz z zamka, wziął papiery pod pachę i wyszedł z obszernej sali wraz z niewielu urzędnikami, których piąta godzina wypędziła z kancelaryi jak tylną straż pszczół opóźnionych.

VIII.

Obywatel Teodor.

Szara zasłona nocy pokryła obszerną salę, której nieszczęsne echa powtarzają nieustannie gorżkie słowa adwokatów i błagające wołania obwinionych.

Gdzie niegdzie tylko biała kolumna, prosta i nieruchoma, niby jakie widmo opiekuńcze tego poświęconego miejsca, zdawała się czuwać nad niem samotnie.

Powszechną ciszę przerywały niekiedy poskoki szczurów gryzących papiery zamknięte w budkach pisarzy, i nie szczędzących nawet samego drzewa tych budek.

Czasem także można było słyszeć turkot pojazdu przenikającego, że się wyrazimy słowy akademików, aż do głębi tej świątyni Temidy, i ponury brzęk kluczy, niby z pod ziemi wychodzący; wszystko to jednak odzywało się w dali, a ten szmer odległy tem wyrazistszą czynił ową ciszę, podobnie jak blask odległego światła wyrazistszą czyni wszelką ciemność.

Zaiste, niepojęta trwoga byłaby przejęła każdego, ktoby o tej godzinie ośmielił się wstąpić do tej sali, której ściany czerwieniły się jeszcze krwią ofiar wrześniowych, po której schodach tego samego dnia przeszło dwudziestu pięciu na śmierć skazanych, i którą zaledwie kilka kroków tylko przedzielało od kryjówek zaludnionych posiwiałemi szkieletami.

Jednakże wśród tak przerażającej nocy, wśród tego prawie uroczystego milczenia, dało się słyszeć słabe skrzypnięcie; drzwi jednej z budek obróciły się na swych wrzeciądzach i ostrożnie wysunął się z niej cień czarniejszy nawet od cienia nocy.

Wtedy to ów zajadły patryota, którego po cichu nazywano panem, a który głośno utrzymywał, że się nazywa Teodor, lekką nogą dotknął chropowatej posadzki. W prawem ręku trzymał ciężki drąg żelazny, lewą zaś przymocowywał do pasa dwururny pistolet.

— Od budki aż dotąd naliczyłem dwanaście tafel — szepnął — tutaj kończy się pierwsza.

I znowu licząc, końcem nogi macał szparę pomiędzy dwoma kamieniami, którą czas coraz wyraźniejszą czynił.

— Obaczmy też — rzekł sam do siebie zatrzymując się — czym dobre przedsięwziął środki? Czy będę miał dosyć siły, a ona dosyć odwagi? O! tak jest, znam ja dobrze jej odwagę. O! mój Boże! kiedy dotknę jej ręki, kiedy jej powiem; „Jesteś pani ocalona!"

I umilkł niby przygnieciony ciężarem takiej nadziei.

— O! co za śmiały i nierozsądny zamiar! powiedzą drudzy, kryjąc głowy pod poduszki, lub przestając jedynie na przywdzianiu liberyi i przechadzaniu się koło Conciergerie; ale też do takiej śmiałości nie posiadają tego, co ja posiadam, ale ja nietylko królowę, lecz i kobietę ocalić pragnę. Przystąpmy więc do dzieła. Podnieść taflę, nic trudnego, ale zostawić ją podniesioną niebezpiecznie, bo ront nadejść może, choć mówią, że tu nigdy nie przychodzi. Nikogo nie mają w podejrzeniu, bo ja nie mam wspólników, a przytem dla człowieka z moim zapałem niewiele potrzeba czasu na przebycie ciemnego korytarza; za trzy minuty będę pod jej pokojem, za pięć minut podniosę kamień, służący za ognisko w jej kominie; usłyszy mię, ale nie przelęknie się, bo ma zbyt wiele stałości; przeciwnie pojmie, że zbliża się oswobodziciel. Strzeże jej dwóch ludzi, zapewne przybiegną. Cóż ztąd! dwóch — z ponurym uśmiechem rzekł patryota, patrząc to na broń, którą miał u pasa, to na drąg, trzymany w ręku — wystarczy dla nich dwa strzały z pistoletu lub dwa uderzenia tym oto drągiem; biedacy! o! ale iluż to mniej winnych pomarło. Ha!

I obywatel Teodor odważnie zasadził swój drąg w szparę, przedzielającą dwie kamienne tafle posadzki. W tejże samej chwili żywe światło jak błyskawica przebiegło po posadzce, i jakiś szmer obijając się o sklepienie sprawił, że spiskowy odwrócił się i za jednym poskokiem ukrył się znowu w budce.

Wkrótce obiły się o uszy Teodora jakieś głosy, osłabione oddaleniem i wrażeniem, jakiemu ulegają ludzie nocą po obszernem zabudowaniu krążący.

Schylił się i przez szczelinę w budce spostrzegł najprzód człowieka wojskowo ubranego, który swą wielką szablą brzęczącą po posadzce, sprawiał hałas i przez to zwrócił jego uwagę, potem drugiego w pistacyowem odzieniu, który trzymał w ręku linię i zwój papierów pod pachą; potem znowu trzeciego w grubej wełnianej kamizeli i futrzanej czapce; nakoniec czwartego w drewnianych trzewikach i opończy.

Żelazna krata zaskrzypiała na dźwięcznych zawiasach i uderzyła o łańcuch, który ją w dzień wstrzymywał od zawarcia się. Wszyscy czterej weszli.

— To ront — szepnął Teodor. — Chwała ci Panie, dziesięć minut później a byłbym zgubiony.

I z gęboką uwagą usiłował rozpoznać osoby ront ten składające.

Trzech poznał w istocie.

Ten, który szedł naprzód, ubrany po jeneralsku, był to Santere. Człowiek w wełnianej kamizeli i futrzanej czapce był to nadzorca Riszard. Człowiek w trzewikach drewnianych i opończy musiał być zapewne odźwierny.

Ale nie widział nigdy człowieka w pistacyowem odzieniu, który trzymał linią w ręku i papiery pod pachą.

— Ktoby to mógł być? i co mieli do czynienia w sali straconych kroków, o godzinie dziesiątej wieczorem, jenerał gminy, dozorca Conciergerie, odźwierny i ten człowiek nieznajomy?

Obywatel Teodor przykląkł, trzymając w jednej ręce nabity pistolet, a drugą poprawiając czapkę, która przez szybkie poruszenie zanadto zrujnowała nienaturalne jego włosy.

Aż dotąd czterej przechodnie milczeli, lub przynajmniej cichej ich rozmowy spiskowy nie mógł dosłyszeć.

Ale zbliżywszy się o dziesięć kroków do budki, Santerre przemówił pierwszy, a głos jego wyraźnie obił się o uszy obywatela Teodora.

— Otóż — rzekł — jesteśmy w sali straconych kroków. Obywatelu budowniczy, tyś nas teraz prowadzić a mianowicie przekonać powinien, że odkrycie twoje nie jest niedorzecznością, bo wiadomo ci zapewne, że rewolucya wymierzyła sprawiedliwość wszelkim tego rodzaju głupstwom, i teraz już nie wierzymy ani w podziemia ani w duchy. Cóż ty na to, obywatelu Ryszardzie? — dodał Santere, zwracając mowę do człowieka w wełnianej kamizeli i futrzanej czapce.

— Nie zaprzeczałem nigdy istnienia podziemiów w Conciergerie — odpowiedział Ryszard — ale oto Grakhus, który tu jest od dziesięciu lat odźwiernym, a tem samem zna Conciergerie, jak swą własną kieszeń, utrzymuje przecież, iż nic nie wie o podziemiu, o jakim mówi obywatel Giraud. Jednak ponieważ obywatel Giraud jest budowniczym miasta, musi więc lepiej wiedzieć o tem, aniżeli my, bo to jego zawód.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Conan Doyle.

Przygody brygadyera Gerarda.

Powieść z czasów napoleońskich.

(Ciąg dalszy).

— Zapłacisz nam pan za wszystko a inaczej być nie może — zaczął. — Pan, nadleciały tutaj awanturnik i cudzoziemiec, ośmieliłeś się podnieść oczy z miłością na wnuczkę doży Wenecyi, a wnuczka ta była już zaręczona ze spadkobiercą sławnego imienia Lorendanich. Kto się taką cieszy łaską, musi za to odpowiednio odpokutować.

— Kara nie może być wyższą od tej łaski — odparłem.

— Pomówimy z sobą, gdy pan odbędzie część swojej kary. Może wtedy będziesz pan mówił mniej wyniośle — rzekł. — Matteo, odprowadź tego więźnia do drewnianej celi. Dzisiaj jest poniedziałek. Nie dostanie ani jeść, ani pić, a w środę przywiedziesz go do nas. Postanowimy wtedy, jaką śmiercią ma umrzeć.

Nie były to arcyprzyjemne widoki, panowie, a jednak była to zwłoka łaski. Za wszystko można być wdzięcznym, gdy zbrodniarz wstrzymuje swój śmiertelny cios. Wywlókł mnie z sali i po schodach na dół z powrotem do celi. Drzwi zamknięto i pozostałem sam z mojemi myślami.

Pierwszą moją czynnością było porozumienie się z moim sąsiadem. Zaczekałem dopóki nie umilkną kroki, potem odsunąłem ostrożnie dwie deski i zajrzałem do wnętrza. Światło było bardzo skąpe, tak słabe, iż mogłem zaledwie dostrzedz jakąś skuloną w kącie postać i usłyszeć cichy szept głosu, który tak gorąco się modlił, jak tylko może się modlić ktoś w godzinie śmierci. Deski musiały zaskrzypieć, gdyż usłyszałem lekki okrzyk.

— Odwagi, przyjacielu, odwagi! — zawołałem. — Jeszcze nie wszystko stracone! Tylko nie upadać na duchu. Stefan Gerard jeszcze żyje!

— Stefan! — zabrzmiał głos kobiecy.

Głos ten brzmieć mi zawsze będzie w uszach, jak najmilsza muzyka.

Skoczyłem przez otwór i pochwyciłem tę postać w ramiona.

— Łucyo, moja najdroższa Łucyo! — zawołałem.

Przez kilka minut słowa: „Łucyo!“ i „Stefanie!“ były jedynemi, które mogliśmy wymówić, gdyż wierzajcie mi, panowie, w takich chwilach niema co długo rozprawiać. Wreszcie ona zaczęła pierwsza:

— Oh, Stefanie, oni cię zamordują. Jakim sposobem wpadłeś w ich ręce?

— Przez twój list.

— Nie pisałam żadnego listu.

— A to dyabły przeklęte! A ty?

— Także przez twój list.

— Łucyo, nie pisałem żadnego listu.

— Schwytali nas oboje na jednę i tę samą przynętę.

— Na mojem życiu nic mi nie zależy Łucyo. Zresztą dla mnie niema bezpośredniego niebezpieczeństwa. Odprowadzili mnie poprostu do celi z powrotem.

— Oh, Stefanie, oni cię zamordują. Lorenzo się o to postara.

— Ten stary z tą siwą brodą?

— Nie, młody człowiek, ten brunet. Kochał mnie i mnie się zdawało, że ja go kocham, aż nareszcie... nareszcie dowiedziałam się, co to znaczy prawdziwa miłość, Stefanie.

— Niech robią, co chcą, Łucyo. Przeszłości mi nie zabiorą. Ale co z tobą się stanie?

— Nic tak dalece wielkiego, Stefanie. Przejściowy ból, a potem wszystko minie. Sądzę, że to będzie piętnem, najdroższy, ale znaczyć ono będzie dla mnie zaszczyt, ponieważ otrzymam je przez ciebie.

Słowa jej ścięły mi krew w żyłach. Wszystkie moje przygody były niczem w porównaniu z tą straszną myślą, która jak błyskawica przemknęła mi się przez głowę.

— Łucyo! — zawołałem — na miłość Boga powiedz mi, co ci siepacze chcą z tobą zrobić? Powiedz mi, Łucyo, powiedz!

— Nie powiem ci, Stefanie, gdyż dotknęłoby cię to silniej, niż mnie. A jednak powiem ci, abyś się nie obawiał czegoś gorszego. Prezydent kazał pozbawić mnie ucha, abym na zawsze była napiętnowana za to, iż kochałam Francuza.

Jej ucho! To małe, drogie uszko, które tyle razy całowałem! Dotknąłem się ręką tych małych, aksamitnych uszu, aby się zapewnić, czy oszelmowanie już nie nastąpiło. Tylko po moim trupie mogli się dostać do niej. Przysiągłem to sobie, zgrzytając zębami, że tylko wtedy to stać się może, gdy mnie już na świecie nie będzie.

— Nie smuć się, Stefanie. Mimo to cieszy mnie to, iż się smucisz.

— Te dyabły nie dotkną się ciebie!

— Mam jeszcze nadzieję, Stefanie. Lorenzo jest tam. Zachowywał się cicho, gdy zostałam skazana, ale może, gdy mnie już nie było, wstawił się za mną.

— Uczynił to. Słyszałem na własne uszy.

— W takim razie może zmiękczył ich serca.

Wiedziałem, że tak nie było, ale, panowie, jakże jej to mogłem powiedzieć? Mogłem to uczynić coprawda z całym spokojem, gdyż zoryentowała się szybko i odgadła wszystko swym kobiecym instynktem.

— Nie chcieli go wysłuchać! Nie obawiaj się powiedzieć mi tego, ukochany, dowiedz się bowiem, że jestem godną miłości żołnierza. Gdzie jest teraz Lorenzo?

— Wypadł z sali.

— W takim razie wyszedł zupełnie z gmachu.

— Tak mi się zdaje.

— Pozostawił mnie więc mojemu losowi. Nadchodzą, Stefanie, nadchodzą!

Zdaleka już słyszałem ten obrzydliwy odgłos kroków tajemniczych i brzęk kluczy. Czego chcieli? Innych więźniów przecież nie było, aby ich można było zawlec przed trybunał. Mogli tylko zjawić się po to, aby na mojej ukochanej wykonać wyrok.

Stanąłem między nimi a wejściem; w członkach moich poczułem siłę lwa. Byłem przygotowany na zwalenie całego gmachu, zanimby jej dotknęli.

— Uciekaj, uciekaj, Stefanie! — zawołała. — Zamordują cię! Moje życie nie znajduje się przynajmniej w niebezpieczeństwie. Na miłość twoją dla mnie, Stefanie, zaklinam cię, ustąp! To nic. Nie wydam ani jęku, nic nie usłyszysz!

Zaczęła się szarpać ze mną ta mała delikatna istotka i gwałtem chciała mnie wepchać w otwór do mojej celi.

Wtem przyszła mi myśl do głowy.

— Jeszcze jest ratunek, Łucyo — szepnąłem. — Uczyń, jak ci powiem, natychmiast, bez oporu. Idź do mojej celi! Marsz!

Przesunąłem przez otwór i pomogłem jej doprowadzić znowu deski do porządku. Zatrzymałem jej płaszcz, otuliłem się w niego prędko i ukryłem się w najciemniejszym kącie celi.

Po chwili otworzyły się drzwi i weszło kilku drabów. Liczyłem na to, iż nie będą mieli przy sobie latarni, ponieważ przedtem także jej nie mieli. Mogli widzieć w kącie tylko jakiś czarny tłumok.

— Dawaj światło! — zawołał jeden z nich.

— Nie, nie! — zawołał ten przeklęty Matteo swym ochrypłym głosem. — To nie taka robota, na którąbym się chętnie patrzył, a im dokładniej patrzę, tem wstrętniejszą mi się ona wydaje.

W tej chwili chciałem skoczyć i przerżnąć się przez nich. Ale coby to pomogło Łucyi? Przypuściwszy nawet, iż odzyskałbym wolność, to przecież ona pozostałaby w ich mocy, dopókibym ja nie powrócił z odsieczą, gdyż sam nie miałem widoków wydarcia jej z ich rąk.

To wszystko stanęło mi w jednej chwili przed oczyma. Przekonałem się, że nie pozostawało mi nic innego, jak zachowywać się spokojnie, pozwolić dać zrobić z sobą, co chcieli, i czekać, dopóki szanse nie zmienią się na moją korzyść.

Ordynarna łapa zaczęła grzebać w moich lokach, których dotąd dotykały się tylko delikatne rączki kobiet.

Chwycił mnie szelma za ucho, poczułem piekący jakiś ból, jakby mnie ktoś dotknął rozpalonem żelazem. Zaciąłem zęby, aby nie krzyknąć, potem poczułem, jak ciepła krew spływa mi po karku.

— No, dzięki Bogu, to już minęło — rzekł drab i uderzył mnie po łbie. — Jesteś pani dzielną dziewczyną, signora, to muszę pani przyznać, a pragnąłbym tylko, aby pani miała lepszy gust, niż kochać się w takim Francuzie. Jemu masz to pani do zawdzięczenia, ja nie ponoszę tutaj żadnej winy.

Cóż mogłem innego uczynić, panowie, jak nie zachowywać się spokojnie i tylko wobec mej bezsilności zgrzytać zębami? W każdym razie ból mój i wściekłość doznawały pewnej ulgi, że cierpiałem dla kobiety, która mnie kochała.

Mężczyźni lubią mówić kobietom, iż chętnie ponieśliby dla nich wszelkiego rodzaju cierpienia, ale mnie się udało dowieść tego, iż nie powiedziałem za wiele. Wyobrażałem też sobie, jak po rycersku postąpiłem, jak dumnym będzie pułk hu-

zarów ze swego pułkownika, gdy historya stanie się głośną.

Te rozważania kazały mi znosić wszystko cierpliwie, a krew spływała mi ciągle po karku i padała kroplami na kamienną podłogę. Ten szelest o mało nie stał się przyczyną mojej zguby.

— Krwawi bardzo silnie — rzekł jeden z siepaczy. — Możeby zawołać lekarza, gdyż inaczej gotowa nam do jutra zamrzeć.

— Leży cicho i nie wydaje z siebie ani jęku — rzekł drugi. — Może umarła ze strachu?

— Głupstwo! Młoda kobieta tak szybko nie umiera — odezwał się Matteo. — Zresztą odciąłem tylko tyle, aby miała piętno sądowe. Wstawaj pani, signora, wstawaj pani!

Chwycił mnie za ramię i potrząsnął.

Serce przestało mi bić ze strachu, aby nie poczuł epoletów pod płaszczem.

— Jakże pani jest? — zapytał.

Nie dałem żadnej odpowiedzi.

— Do dyabła! — zawołał. — Gdyby się tylko z babami nie miało do czynienia choćby to była najpiękniejsza kobieta w Wenecyi! Nicolo, dawaj chustkę i idź po światło.

Wszystko wydawało się stracone, panowie. Nastąpiła najgorsza rzecz. Nie było już ratunku. Siedziałem ciągle jeszcze w kącie, ale każdy muszkuł mój był naprężony, jak u dzikiego kota, który gotuje się do skoku. Tak panowie, skoro już miałem umierać, chciałem umrzeć przynajmniej z godnością.

Jeden z tych drabów poszedł po lampę, a Matteo pochylił się nademną i przycisnął chustkę w miejscu, w którem mi odciął kawał ucha. Za chwilę tajemnica będzie wykryta!

Nagle jednak stanął nieruchomy — i zaczął nadsłuchiwać.

Usłyszałem i ja jakieś zmięszane głosy przed oknami.

Potem dał się słyszeć plusk wody i wrzask. Następnie zapukano do bramy bardzo silnie i jakiś okropny głos wrzasnął:

— Otworzyć! W imieniu cesarza otworzyć!

Cesarza! To słowo podziałało, jak imię świętego, przed którem pierzchają wszystkie dyabły. Uciekli też z wrzaskiem — Matteo, służący, klucznik, słowem cała banda morderców.

Dało się słyszeć jeszcze raz wezwanie do otwarcia, a potem topory uderzyły o bramę, nastąpił przerażający trzask wywalanych drzwi. W kurytarzu słychać było szczęk broni i krzyki żołnierzy francuskich. Za chwilę ktoś zbiegał po schodach i pędził prosto do mojej celi.

— Łucyo! — wołał — Łucyo!

Widziałem go, jak stał w niepewnem świetle celi, dyszał i nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa więcej.

Potem zawołał:

— Czy nie dowiodłem ci mej miłości Łucyo? Czy nie uczyniłem szalonego kroku, aby ci jej dowieść? Zdradziłem moją ojczyznę, złamałem moje przysięgi, zrujnowałem moich przyjaciół i poświęciłem życie, aby tylko uratować ciebie!

Był to młody Lorenzo Loredano, kochanek, o którym przedtem wspomniałem. Było mi to bardzo przykro, panowie, ale w sprawach miłosnych wszyscy mężczyźni są bardzo samolubni; gdy ukochana woli kogoś innego, chcemy mieć przynajmniej to zadowolenie, iż współzawodnik jest godnym szacunku i poważania.

Chciałem mu to właśnie wytłumaczyć, ale zaraz po pierwszem słowie wydał okrzyk zdumienia, wypadł z celi, pochwycił lampę stojącą w kurytarzu, i zaświecił mi w twarz.

— To ty jesteś, ty nędzniku! — wrzasnął. — Ty francuski psie! Odpłacisz mi wszystkie moje cierpienia, które przez ciebie przebyłem!

Spostrzegł jednak zaraz bladość na mojej twarzy i krew, która jeszcze ciągle spływała z rany.

— Co to jest? — zapytał. — Skąd pan przyszedłeś do utraty ucha?

Zapanowałem nad sobą, przycisnąłem chustkę silniej do rany, wyprostowałem się, jak świeca i postąpiłem ku niemu, jak przystało na pułkownika huzarów.

— Rana nie jest ciężka — rzekłem. — Za pozwoleniem pańskiem, ale tej sprawy osobistej nie będziemy roztrząsali dalej.

Łucya wypadła ze swej celi i zwiesiwszy się na ramieniu Lorenza, opowiedziała mu wszystko.

— Ten szlachetny człowiek zajął moje miejsce, Lorenzo! Zamiast mnie stanął. Cierpiał, aby mnie uratować!

(Ciąg dalszy nastąpi).

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

— Nie znajdą się — zawołał Pułaski weselej z rodzajem rezygnacyi męzkiej — niech się wola Boża stanie. Dzisiaj się u kapelana Francuza wyspowiadałem i na duszy jestem spokojny... Niech się dzieje, co Bóg przeznaczył. Życia mi nie żal — dodał powoli — nie doczekam nic lepszego dla Polski, póki króluje Soliter... boli mnie tylko, że was tu tak samych porzucę.. otoczonych tą niechętną gawiedzią... Słuchaj Rogowski, ty sobie jeszcze dasz radę, ale ten biedny Karol...

Pamiętaj, w złym razie, garnijcie się do Kościuszki — on was z tej otchłani wyratuje... Otchłań to w istocie, choć o świętą idzie sprawę... mnie tu całe życie obrzydło... tłum... ochotnicy ci... wojsko bez Boga... rycerze bez wiary... żołnierz rozpasany... murzyny, Indyanie, Anglicy... z całej kuli ziemskiej zbierane włóczęgi.

Jeżeli mnie nie stanie — dodał — nie macie tu co dłużej robić, szkoda was, wracajcie do domu, lepiej siać hreczkę, a czekać nowych wici na swoim zagonie, dość by wam tej włóczęgi.

Rogowski milczał długo.

— Co to o tem mówić, panie generale — dodał w końcu — na co te myśli przypuszczać; jeżeli powrócimy to razem.

— Kto? ja? ów mniemany królobójca? — uśmiechając się i ruszając ramiony, rzekł generał — dosyć mnie tam spotwarzano! Dla mnie miejsca w Polsce nie ma... ladajaki ciur bryźnie mi w oczy owem królobójstwem... to...

Nie! nie! czuję, że mi w tym gorącym piasku amerykańskim kości położyć przyjdzie. Ks. Marek święty, a zgubione szkaplerze, to niebios przestroga...

Więcem też gotów. —

— Szkaplerze! ale ja ich mam dwa — zawołał Rogowski — rozrywając mundur z piersi. — Generale, na miłość Bożą, podzielmy się.

Zlekka odtrącił go ręką Pułaski.

— Nigdy w świecie! — rzekł stanowczo — nie chcę, nie mogę cię pozbawiać tych tarczy niebieskich... one na tobie zawieszone zostały i z piersią twoją się zrosły... Nademną — wola Boża... nieprzełamana.

Rogowskiemu aż się łza zakręciła, udawał, że nie wierzył w proroctwo i szkaplerze, ale mimowolnie uczyniło to na nim wrażenie.

— No — jeśli ginąć, to ginąć... — zawołał — bo ja generała nie odstąpię...

Pułaski go uściskał. — Uspokój się — rzekł — nikt wyroków niebios nie zmieni. Co ma się stać — musi, nie mówmy o tem... Pamiętaj, że ci Karola powierzam i com ci radził i radzę...

Na tem przerwała się rozmowa, gdyż Karol wszedł z raportem od ułanów... a Pułaski przybrawszy weselszą twarz, nie dał po sobie poznać, co w sercu nosił.

P. Maciej był zasępiony.

Następnych dni zaczęło się bombardowanie od lądu i rzeki. Francuzi spragnieni boju rzucali się na twierdzę z tą porywczością narodowi swemu właściwą, która ich prawdziwemi czyni bohaterami. Lenfant, oficer francuski, kilka razy podkradał się pod palisady drewniane twierdzy, mimo gęstych strzałów usiłując je podpalić. Zajmowały się one, ale prędko gasły, bo drzewo było stare i przegniłe.

W twierdzy, choć znaku osłabienia nie dawali Anglicy, zbiegowie mówili, że znacznie stracono na duchu.

Ta wiadomość przyczyniła się zarówno z niecierpliwością d'Estainga do zdecydowania szturmu. Francuzi byli najpewniejsi zwycięstwa.

Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ KOBIECY.

Zawieranie związków małżeńskich bez miłości.

Mówimy nieraz, ażeby słowom większego nadać znaczenia: »jak pragnę szczęścia moich dzieci« — i chyba nikt rozsądny takiego zaklęcia w powątpiewanie nie poda, boć czy może być co więcej zrozumiałe, aniżeli miłość rodzicielska?

Inna rzecz, jak się kto na szczęście zapatruje. Jedni rodzice widzą je w dostatkach, drudzy w koligacyach, inni we wysokich stanowiskach, a bodaj im przez myśl nie przejdzie, że każde pokolenie ma swoje odrębne zapatrywania i że nie wszystko, co się rodzicom podoba, może się podobać i dzieciom. Ale o to też wcale nie chodzi — upatrzoną partyę, czy to dla syna, czy córki, wysuwa się powoli na widownię, od niechcenia zwraca się dziecku na nią uwagę, podkreślając te właśnie »dobre« strony, które nam do gustu przypadają, a resztę wspaniałomyślnie pozostawiamy czasowi. Czas jest mistrzem w swoim rodzaju — najpierw ofiarę biedną z myślą oswoi, potem pogodzi i nie potrzeba wielkich zabiegów, ani wysiłków, ażeby w stanowczej chwili nie zgodziła się oddać ręki razem z »sercem« wybranemu przez papę, lub mamę osobnikowi.

— Moje dziecko kochane — nie kochasz, to pokochasz po ślubie, — ile to małżeństw na własne oczy widziałem, które tylko interes połączył, a dziś — spytaj ich, jacy szczęśliwi; — odpowiada się, gdy która z takich ofiar poważy się powątpiewać o szczęśliwości takiego stadła.

No i — pobiorą się, i ojca i matkę uszczęśliwią! —

Sarkazm tu istotnie z mej strony nie na miejscu, to też proszę mi wybaczyć, bo go chyba gorycz zrodziła. Mnie nie śmieszno, gdy sobie o takim stanie rzeczy pomyślę, bo rzadko która wina takie straszliwe sprowadza następstwa na całe pokolenia, jak właśnie ta bezgranicznie bezmyślna lekkomyślność pod tym względem. I dziwne, że doświadczenie rodziców nie przychodzi tu w pomoc, iż im te pozorne objawy cudzego szczęścia wystarczają, że głębiej w takie cudze stosunki się nie wpatrują?! Za powierzchowni widocznie, podczas, gdy druga strona skwapliwie ukrywa wszelkie domowe niesnaski i małżeńskie nieporozumienia, jak gdyby zbrodnię jaką ciężką, bo panowanie nad sobą, ażeby świat prawdy się nie domyślił, jest jednem z przednich przykazań towarzyskiego życia. Tem się też chyba tłómaczy, że doświadczenie do ogółu przedrzeć się nie może, bo wszyscy na pozór szczęśliwi.

Więc dobrze — jeśli się nieszczęściem naszem afiszować nie chcemy, to afiszujmy się — szczęściem!

Niech te małżeństwa wybrane, a szczęśliwe, nie kryją zazdrośnie tego raju ziemskiego przed oczyma drugich, — niech przy każdej sposobności śmiało i otwarcie wyznawają, że tylko poświęceniem swoich materyalistycznych przekonań okupili sobie takie niezrównane szczęście, jakie im miłość wzajemna zgotowała.

Powiadają ludzie, że gdy bieda drzwiami wchodzi, to miłość oknami ucieka, — a jabym powiedziała odwrotnie, — że — gdy miłość drzwiami wchodzi, to »bieda« oknami ucieka — taka w tej miłości potęga przeogromna i tak w obec niej nikną wszystkie troski i kłopoty. To też dzieciom naszym przy każdej sposobności wpajajmy to przekonanie, że jedyną rękojmią szczęścia, to wybór podług skłonności serca, a nie rozsądku.

My się koniecznie wyzwolić musimy z tego materyalizmu, który nam sobą świat idealny zasłania, ażeby — *odrodzić się!* Odrodzenie blizkie — powiadają, ale ono nam w ręce nie wpadnie, jeśli się tak zapamiętale do tych dawnych nawyczek i skłonności przywięzywać będziemy, jeśli z zaparciem się siebie nie będziemy torować drogi do odwrotu temu biednemu pokoleniu, któreśmy bezmyślnością swoją na manowce wprowadzili.

Z dziedziny wychowawczej.

Zaufanie.

Jednym z potężnych czynników w wychowaniu moralnem i prowadzeniu dzieci jest zdobycie ich zaufania przez wychowawców. Zaufanie jest wynikiem stosunku przyjacielskiego, jaki istnieć winien między rodzicami a dziećmi.

Zaufanie — to węzeł duchowy, który każda matka zadzierzgnąć winna, chcąc sobie zapewnić największy wpływ na wychowanie.

Mamy całą masę dzieci z natury, lub wskutek różnych okoliczności życiowych, zamkniętych w sobie; matka powinna znaleźć klucz do otworzenia ich serc, i do zdobycia zaufania. Matka powinna być powierniczką swych dzieci, a może być pewną, że zabezpieczy ich przyszłość. Przed nią dziecię nie powinno nic ukrywać, nic zarówno dobrego, jak zdrożnego, lub wątpliwego.

Wychowawczyni siłą własnej intuicyi powinna umieć znaleźć drogę do zawładnięcia zupełnego duszą dziecka: radość jego winna znaleźć oddźwięk w jej sercu, choćby to było w rzeczach drobnych i błahych, gdy zaś spostrzeże coś zdrożnego, z całą dobrocią jej wrodzoną, z wielkim współczuciem dla błądzących, lecz zarazem z całą powagą i stanowczością winna prostować błędy, podnosić ducha, wskazywać piękno ideału.

Czynnik ten zapoznawany bywa, niestety, z różnych przyczyn. Dziś w sferach najniższych spotykamy wielkie i ogólne dążenie dania dzieciom wykształcenia, któreby mogło im zabezpieczyć przyszłość. Syn lub córka rzemieślnika musi się uczyć, kształcić lecz o *wychowaniu;* niema tu mowy.

Wyraz „wychować" — używa się tu tylko w znaczeniu: zaspokoić potrzeby materyalne.

Lecz nie wińmy biednych rodziców! Cóż wymagać mamy od ojca, będącego cały dzień poza domem i wracającego późnym wieczorem, spracowanego, lub od matki, która musi sama wykonywać wszelkie zajęcia gospodarskie, krzątać się koło domu i zająć się nieraz 2—3 małoletnich dzieci. Nic też dziwnego, że ci ludzie mało wglądają w dusze swych dzieci, gdyż sami nie mają czasu na konieczny wypoczynek.

Nie lepiej się jednak dzieje między ludźmi sfery wyższej. I tu ojciec zajęty przeważnie staraniem zabezpieczenia bytu materyalnego swej rodziny; matka zaś „nie ma czasu" bawić się w „błahostki".

Zdarzyło mi się w pewnej miejscowości kuracyjnej spotkać 17-letnią panienkę z zamożnego obywatelskiego domu. Wkrótce zaprzyjaźniłyśmy się bardzo. To dziewczę o naturze bujnej, szlachetnej, zalewało się łzami na wspomnienie matki. „Ja nie mam do niej zaufania", mówiła, „bo gdy się jej w czemkolwiek zwierzę, otrzymuję tylko odpowiedź „daj mi spokój, nie mam czasu zajmować się podobnemi drobiazgami". Biedne dziewczę, nie mając się zwrócić do kogo ze swemi myślami, wpadło w wiele wątpliwości, a nawet było na drodze do obojętności religijnej.

A przecież matka dziewczęcia była osobą wykształconą, starała się i kształcić swą córkę, ale dusza dziecka nie obchodziła jej wcale. I cóż dziwnego, że gdy matka „nie ma czasu" dla swego dziecka, znajdą się ludzie złej woli, którzy znajdą czas dla sprowadzenia z drogi dobrej, dla wyśmiania i zniweczenia ideałów, dla ogołocenia dusz młodzieńczych ze wszelkiej świętości i prawości.

Cóż dziwnego, że młodzież oddana z domu do szkół, traci wiarę, moralność, gdyż z domem nic ją nie łączy; tu zaś znajduje kolegów i koleżanki usłużne, a i starszych, którzy mają czas gorliwie się nią zająć. Biedne dzieci, nieraz pełne najlepszych chęci i zamiarów, giną marnie lub powiększają szeregi karyerowiczów, filistrów, bezwyznaniowców, cyników itp.

A sięgnijmy jeszcze wyżej — do naszej inteligencyi. I tu niestety z małymi wyjąkami to samo. Zmienia się tylko postać rzeczy: rodzice oddani „pracy społecznej" oddają dzieci na łaskę i niełaskę bon, osób też niewiele mających pojęcia o wychowaniu dzieci, troszczących się jedynie, aby dziecku nic nie zbrakło pod względem materyalnym. I cóż dziwnego, że w ostatnich czasach zwiększa się w przerażający sposób liczba samobójstw między młodzieżą, cóż dziwnego, że potargawszy wszelkie ideały duszy targają się na własne życie.

Gdzież młodzież ma uciec w chwilach zwątpienia moralnego? gdzież znajdzie tych, co będą *mieli czas* zająć się jej duszą i nie potępiać, lecz współczuć, nie poniżyć lecz podnieść na duchu, uszlachetnić, wskazać drogę do dobra, piękna? Kto doda im energii i odwagi w chwilach trudnych życia?

Ach, to wszystko znaleźć może tylko w kochającej matce wychowawczyni.

Brak zaufania powoduje ciągły konflikt między rodzicami a dziećmi i nie zmienią się nasze stosunki, jeżeli kobieta wychowawczyni nie potrafi zdobyć zaufania dzieci.

Salata włoska.

Cztery jabłka, tyleż kartofli i trochę buraków pokrajać w kosteczki, dodać cztery pokrajane jaja, dwa śledzie, dwie łyżki kaparów, kilka sardeli, doskonale wymieszać na salaterce z pieprzem, solą i oliwą, ubrać na wierzchu liśćmi świeżej sałaty i twardemi jajami.

:: HUMORYSTYKA ::

Ładne porównanie.

— Proszę cię, Józiu, nie chodź na pogrzeby swoich pacyentów.

— Przecież to tylko uprzejmość...

— Ale złośliwi cię porównują do krawca, który odnosi swoją robotę.

Pojętna.

Pani mówi do służącej swojej, przed obiadem, na który mają się zebrać goście:

— Pamiętaj, Kasiu, zanim zbierzesz talerze, zawsze zapytaj każdego z gości, czy nie pozwoli jeszcze, rozumiesz?

— Rozumiem, proszę pani...

Podczas końca obiadu Kasia usługuje przy stole i pyta jednego z gości:

— Czy pan nie pozwoli leguminy?

— Ja... owszem — odpowiada gość.

— Kiedy... w kuchni już ani krzty nie ma w rondlu...

W tydzień po ślubie.

— Tak, dopiero tydzień po ślubie i już wczoraj potrafiłeś się upić do bezpamięci.

— Daruj aniele, ja tylko chciałem przekonać się, jak się ze mną obejdziesz.

— Jakżem się obeszła, ty niegodziwcze.

— Kiedy słowo ci daję, nic a nic nie pamiętam.

Dzisiejsi mężowie.

— Słuchaj Zosiu, powiada pan N. do swej młodziutkiej żoneczki, powiedz mi, co wolisz, koronki czy brylanty.

— O koronki, mój drogi Stasiu, odpowiada rozpromieniona Zosia, i zdaje mi się, że zgaduję, dziś są moje imieniny, więc pewnie mi kupiłeś koronki...

— Wygrałem dzięki tobie, przerywa jej mąż, 25 rubelków od twojej matki. Założyłem się z nią — ona utrzymywała, że wolisz brylanty, a ja twierdziłem, że koronki.

Wątpliwość.

— Ciągle pan mówi, że mnie tak kocha, niech mi pan da tego dowód.

— Natychmiast, czego pani żąda?

— Niech się pan ze mną ożeni.

— Alboż to będzie dostateczny dowód miłości?

Dobre wychowanie.

— Oho, widzę, że twoje interesy poprawiły się.

— Zkądże to wnosisz?

— Widziałem, jakeś oddał Franiowi sto marek.

— E, widzisz, zrobiłem to dlatego, żeby módz pożyczyć jutro od niego dwieście marek.

W sądzie.

— Więc przyznajecie, żeście skradli pięć butelek wina? co macie do przytoczenia na wasze tłómaczenie?

— Proszę pana sędziego rozchorowałem się od tej lury.

Dwa podobieństwa.

— Droga pani, miłość moja dla niej podobną jest do obrączki... ona jest bez końca!

— I moja miłość także podobną jest do pańskiej obrączki. Ona jest bez początku!

Żadna karyera.

— Może mi pan nareszcie powinszować, właśnie zaręczyłem się wczoraj.

— No, to panu winszuję, a ile ma pańska narzeczona?

— Ośmnaście...

— Tysięcy?

— Nie — lat...

— No, to ja już widzę, że z pana będzie bardzo niepraktyczny mąż...

— Dlaczego?

— Bo pan nie posag liczysz, tylko lata swojej narzeczonej, a to nie jest żadna karyera...

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.

Redaktor odpowiezialny Marjan Hupczyc w Krakowie.